

AS

Nr. 28

11 LIPCA 1937 ROKU

CENA 40 GROSZY

ZASADZKA NA KRÓLA KNIEJI

Fot. Imre von Santho

kanikuła





Czuję cię w żyłach nabrzmiałych, w gorącej czuję cię krwi,
rozpalasz mnie, rozpłomieniasz chwilą namiętną i czułą,
dławisz mnie dłonią rozgrzaną przez parne noce i dni,
królowo zmysłów szalonych, piekąca kanikuło!

Chciałbym ci hymnem płonącym wyśpiewać hołd swój i cześć
spoconych słów rzucić rytm, dyszących słów wrące koło —
lecz mnie proszono tu tylko o... żartobliwy wiersz,
o tobie, kanikuło, mam pisać... na wesoło!

Że jakąś wiotką panienkę ugasza wody prąd,
a pan zwarjował z gorąca pławiąc się pod fontanną,
policjant w kostjum się ubrał, wąż morski wypełza stąd —
tak twierdzi wesoły artysta swoją winietą zabawną...

Ale wybaczcie... nie mogę wesołych słów znaleźć dziś!
pulsuje we mnie ten żar, co każe omdlewać muskułom,
nabrzmiewa żyły żądzą i rozkosz wsącza do krwi!
nie mogę żartem pisać o tobie, kanikuło!

Ty przecież przemawiasz do mnie ulewą pachnących słów,
ty w noc się parną wydłużasz południem wiecznie gorącem,
namiętnym pocałunkiem, pod którym braknie tchu,
uściskiem, skurczem, płomieniem, twojem natchnionem
słońcem!

I gdy się znęcasz nademną i ogień wkrapiasz do żył,
odmawiam chłodu, spoczynku — do ciecie wyprężam ręce,
bo wtedy jest dobrze mi, bo wtedy szczęśliwie mi,
że jestem twej woli poddanym — i niczem więcej...

WITOLD ZECHENTER



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 28 | Niedziela 11 lipca 1937 | Rok III

ASY NUMERU 28-GO:

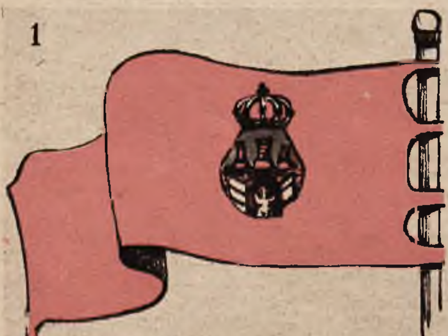


Lipiec jest miesiącem, w którym ze wszystkich stron Polski podążają do południowych krajów liczne wycieczki. Wiele z nich obrało sobie za cel Italję, której różnorodny krajobraz, wspaniałe zabytki i klimat zawsze nęciły turystów całego świata. Na zdjęciu widzimy Lugano, oglądane z Monte San Salvatore. Tu cudna, pełna słońca dolina, na drugim planie ośnieżone szczyty Alp stwarzają obraz o nieskończonej piękności.

Fot. Zygmunt Borzęcki — Davos.



Obrazek z portu gdańskiego: po lewej obserwatorjum astronomiczne, wgłębi wielki żuraw, po prawej spichlerze.







POLSKIE BANDE

Handel, aby mógł egzystować i rozwijać się pomyślnie, potrzebował dogodnych dróg. Mogły to być drogi lądowe lub wodne. Kierunek tych dróg stanowił o ruchu i wartości położenia handlowego miejscowości w tych właśnie czasach, kiedy trudności komunikacyjnych nie dało się usunąć. Większa lub mniejsza dogodność drogi była też jednym z warunków rozwoju położonych przy niej miejscowości, tembardziej że drogi w tych czasach stanowiły jeden z głównych ośrodków polityki handlowej.

Przez długie wieki utrzymywały się te same drogi, jako koryta, któremi toczyły się fale handlu. Drogi te były ściśle określone i nie można ich było zmieniać dowolnie. Ewentualna zmiana ich kierunku groziła zawsze upadkiem położonych przy nich miast, dlatego też miasta zazdrośnie strzegły tych utartych szlaków, starając się zawsze zapobiedz powstaniu bądź też używaniu dróg, któreby te miasta obchodziły, zwracając w inną stronę ruch handlowy.

Dawny Kraków, posiadał wszystkie wspomniane warunki handlowe, to też nic dziwnego, że już za Mieszka I. stanowił dosyć ożywione targowisko handlowe, choć ruch ten nie miał jeszcze większego znaczenia. Dopiero przywilej lokacyjny 1257 roku stanowił dla handlu Krakowa poważne znaczenie, ściągając do niego kupców, którzy obdarzeni potrzebnymi swobodami i wyodrębnieni od reszty mieszkańców, rozwinęli handel miasta, skierowując go na właściwe tory. Zadanie ich było o tyle już ułatwione, że na terenie Krakowa lub w pobliżu, przecinały się drogi handlowe z południa na północ i z zachodu na wschód. Dzięki tym dogodnym warunkom, Kraków utrzymywał stosunki handlowe ze Śląskiem, któremu dostarczał soli, aż po Wrocław, gdzie sól nasza spotykała się z olą haską idącą od północy. Sól była też przedmiotem eksportu i na Węgry, mimo niejednokrotnych zakazów monarszych, chcących zastrzec rynek węgierski dla rodzimej soli.

Kraków brał też żywy udział w handlu zachodniej Europy, a kupców krakowskich widzieć można było we Flandrji, dokąd udawali się na własnych statkach, wywożąc głównie ołów, wosk, a także i drzewo, przywożąc natomiast słynne na całą Europę sukna flandryjskie. O wiele donioślejszymi były stosunki handlowe Krakowa ze wschodem, który dostarczał Europie cennego jedwabiu, bądź też poszukiwanych korzeni. Przez Kraków dostawały się te towary do Flandrji, skąd rozchodziły się po całej Europie. Tę rolę handlową stracił Kraków w późniejszych wiekach. Łączyło się to z kwestją upadku Konstantynopola w 1453 roku. Morze Czarne, na którem skupiał się ruch handlowy zamknęło się, na wodach Archipelagu na wybrzeżach Lewantu i Syrji, zniknęły osady chrześcijańskie będące emporiami i zalegla martwota handlowa.

Nie bez wpływu na zmianę dróg handlowych pozostały i odkrycia geograficzne, które spowodowały przesunięcie się ognisk handlu z portów włoskich do Lizbony, a następnie Antwerpji i Amsterdamu. Polska, a ści-

1. Jedna z dwóch bander miasta Krakowa, przedstawiajaca herb miasta w czerwonem polu. Druga bandera z czasem zarzucona posiadała białego orła w niebieskiem polu.
2. Bandera miasta Gdańska: w czerwonem polu dwa srebrne krzyże, nad nimi złota korona. Zamiast krzyżów używano też koron królewskich Polski, Węgier lub Szwecji.
3. Bandera handlowa Królewca: w srebrnem polu trzy niebieskie pasy poziome, w środku w srebrnej tarczy czerwony orzeł.



Gdynia — chluba polskiego morza, posiada nowocześnie urządzony port handlowy rozwijający się w szybkiem tempie.

RY HANDLOWE

ślej Kraków, który w XV wieku odgrywał jeszcze rolę pośrednika handlowego Europy ze wschodem, stracił tę swoją rolę na rzecz miast północnych, położonych bliżej bezpośrednich już ognisk handlu. Tak więc streszczałaby się rola handlowa Polski na tle handlu europejskiego.

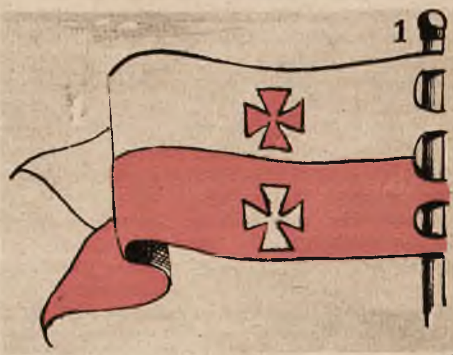
Przed Polską stanęły teraz nowe zadania i nowa rola w dziejach Europy, przygotowana niejako zmianą oblicza społecznego Polski tj. przeobrażeniem stanu rycerskiego na szlachtę — ziemian. Nic więc dziwnego, że Polska, potężna bronią i urodzajna glebą, urosła wkrótce do potęgi gospodarczej Europy. Narody europejskie nie gdzieindziej, jak tylko w Polsce uzupełniały swoje zapasy. Znane są wypadki, ratowania przez Polskę od głodu odległych nieraz krajów np. 1392 roku zawinęło do portu gdańskiego 300 okrętów francuskich, angielskich i holenderskich, żądając pszenicy, która z czasem dotarła drogą wodną do Hiszpanji i Włoch. Przy masowym wywozie płodów rolnych, droga wodna Wisły i jej dorzecze górowała zdecydowanie nad drogami lądowemi choć przyznać trzeba, że technika transportu wodnego była w owych czasach bardziej skomplikowana od transportu lądowego. Wytłumaczenia tego faktu szukać należy w kosztach obu rodzajów transportów. Dziś jeszcze, mimo istnienia kolei żelaznych, transport wodny jest tańszy od lądowego w przeciwstawieniu do owych czasów, kiedy konkurowały z sobą: wóz w konie zaprzężony, jeżdżący po lichych drogach i statek wodny, mogący zabrać bez porównania większy ładunek.

Dodać należy, że rozwojowi żeglugi w tych czasach sprzyjało rozległe dorzecze Wisły, obfitujące w wodę więcej niż dzisiaj. Dlatego też handel Polski skupiający się dawniej w Krakowie zogniskował się teraz w miastach nadmorskich, położonych tuż przy ujściu Wisły, a więc w Gdańsku, Elblągu, Malborgu i Królewcu, który choć nie przy ujściu Wisły leżący, to jednak łącznie z tamtymi miastami odegrał wybitną rolę w dziejach tak politycznych, jak też ekonomicznych zarówno Zakonu Krzyżackiego, jak też Polski, Prus czy też Szwecji. Z miast tych, Elbląg i Gdańsk jako leżące u ujścia tej samej rzeki, choć na przeciwległych końcach jej delty i pośrednicząc w handlu między tymiż samymi obszarami, stanęły z konieczności do współzawodnictwa. W walce tej Gdańsk miał lepszą broń, bo dogodniejsze położenie. Leżał nad samą Wisłą i to w pobliżu ujścia do otwartego morza, gdy przeciwnie Elbląg oddalony był o milę od Wisły i w pobliżu tego jej ujścia, które wiodło do zamkniętego i długą mitręgę powodującego Hawru Fryzkiego. Dlatego też Gdańsk i pod względem wielkości swej i pod względem obrotów handlowych, bogactw, bądź też znaczenia, stanął wyżej od Elbląga, choć i temu niejednokrotnie jasne przyświecały chwile.

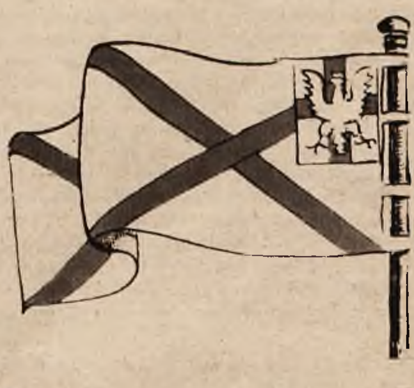
W dziejach swych Elbląg okazał się też wdzięczniejszym dla Polski niż Gdańsk.

Dokończenie na str. 31-ej

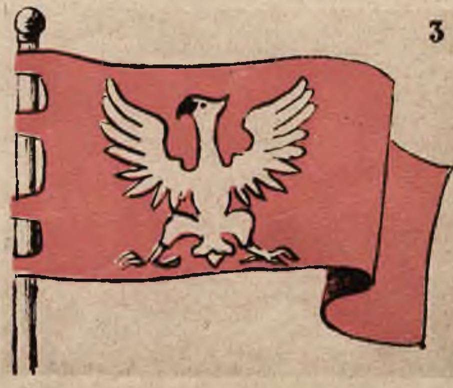
1



2



3



1. Bandera handlowa Elbląga przedstawia pole dwudzielne srebrno-czerwone z krzyżami umieszczonemi: srebrny w polu czerwonem, czerwony w srebrnem. — 2. Oprócz specjalnych bander statki handlujące zbożem posługiwały się banderą białą z niebieskim krzyżem św. Andrzeja, w której w prawym rogu widniała tarcza z niebieskim krzyżem a na nim biały orzeł. — 3. Inne miasta handlowe, nie posiadające własnej bandery, używały bandery królewskiej bądź też narodowej z białym orłem w czerwonem polu.



Na lewo: U sklepienia komory wiszą mrówki amerykańskie z rozdętymi odwłokami napełnionymi miodem. Na dole widzimy zgłodniałą mrówkę, która korzysta z zapasów swej towarzyszki.

Z tajemnic mrowiska

Mrówki obdarzone wysoko rozwiniętym instynktem społecznym, odznaczają się dużą dozą inteligencji. Państewka ich obejmujące wielką ilość „poddanych", cechuje ład i doskonała organizacja. Każdy z mrówczych „obywateli" ma pewną wyznaczoną czynność, którą wypełnia stale i niezmiennie, z wielką sumiennością.

Królowe-mrówki są specjalnie honorowane, a składanie jaj jest jedyną ich funkcją. Robotnice natomiast spełniają obowiązki bardzo różnorodne Jedne z nich należą do orszaku królowej, starając się o jej wygody, do innych należy budowa gniazda i naprawa w razie uszkodzenia, jeszcze inne starają się o pożywienie, troszczą się o potomstwo, pilnują mrowiska.

Niezwykle pomysłowo przeprowadzają wschodnio-indyjskie mrówki Oecophylla smaragdina remont uszkodzonego gniazda. Gdy misterna ich siedziba utworzona z liści, zostanie rozerwana, radzą sobie w ten sposób, że jedne z mrówek zbliżą szczękami do siebie uszkodzone brzegi liścia, inne niebawem przychodzą im w pomoc. Zjawiają się mianowicie pomocnice w postaci „niańek" mrówczych, które niosą ze sobą larwy. Jakąż rolę mają te mrówki tutaj do spełnienia? Oto okazuje się, że larwy posiadają zdolność snucia przędziwa, przysunięte więc do brzegów liścia przez swe nianki i odpowiednio przez nie kierowane, zasnuwają delikatną nicią powstałą szczelinę tak, że wkrótce gniazdo znowu jest bezpieczne.

Gniazda zakładają mrówki w różnych miejscach i budują je z różnorodnego materjału. Jedne gnieżdżą się w drzewach, inne na łąkach lub miedzach, jedne budują gniazda z liści, inne, jak dobrze nam znane mrówki leśne, zakładają kopce z igliwia i grudek ziemi, które stanowią wspaniałe budowle, wzniesione z wielkim nakładem iście „mrówczej" pracy.

Wewnątrz takiego mrowiska biegną w różnych kierunkach korytarze, które prowadzą do poszczególnych komór, posiadających różne przeznaczenia. Są tam komnaty królewskie i sypialnie, w których mrówcze niańki wychowują i karmią nowowylęgłe larwy, które zmienione potem na nieruchome poczwarki, wynoszą na słońce i świeże powietrze

Nie brak także specjalnych spiżarni, w których gromadzą zapasy, a co najciekawsze, istnieją nawet specjalne zagrody dla mrówczego „bydła" oraz ogródki starannie pielęgnowane.

Któżby pomyślał, że te maleńkie owady odznaczają się takiemi zdolnościami w zakresie hodowli!

U pospolitej mrówki czarnej (Lasius niger), niektóre z robotnic wyspecjalizowane są jako hodowcy bydła. Jakże wygląda to mrówcze bydło? Stanowią je również owady-mszyce, znane jako pospolite szkodniki różnych roślin. Mrówki hodują je w zagrodach i troszczą się o nie, jako o dostawców słodkiego płynu, którym się żywią. Na zimę, nietylko mszyce, ale także ich jaja wciągają wgłąb mrowiska, aby tam bezpieczniej mogły przezimować. Mrówki trzymają też swe „dojne krowy" na pobliskich „pastwiskach", które stanowią gałązki różnych krzewów lub drzew. Tam też liczne mrówki podążają na „podój".

Mszyce na końcu swego ciała posiadają rureczki, przez które wydalają niepotrzebne dla swego organizmu substancje w postaci lepkiej cieczy Za nią to przepadają mrówki i chciwie ją zlizują. Doją więc mszyce w ten sposób, że czułkami swemi drażnią ich rureczki, powodując obfitsze wydzielanie się smakowitego napoju. Bronią też swej trzody przed jej nieprzyjaciółmi a w szczególności przed larwami biedronki, dla których mszyce stanowią przysmak nielada.

Inne mrówki jak szuba (Atta cephalotes), żyjące w tropikalnych lasach Ameryki, odznaczają się wybitnemi zdolnościami ogrodniczemi. Kunsztownie umieją hodowac w specjalnych, na ten cel przeznaczonych, ogródkach pewien gatunek grzyba (Rhozites gongylophora), którego smakiem się delektują. Niby doświadczeni hodowcy, którzy wiedzą, że dla pomyślnego rozwoju grzybów potrzebne jest odpowiednie podłoże, mrówki te zakładają hodowle na starannie przygotowanych grzędach kompostowych. Interesująco przedstawia się przygotowanie takiego żyznego podłoża, koniecznego dla uprawy grzyba.

W olbrzymich gromadach mrówki napa-



Scena z życia mrówek: mrówka „amazonka" unosi zdobycz, druga zaś zabija ograbioną ofiarę.



Mrówki „wypasają" mszyce na gałązce róży.

Poniżej od lewej: Mrówki „amazonki" wycinają liście na kompost do ogródka. — A oto mrówki-robotnice (Oecophylla smaragdina) pracują przy naprawie gniazda. — Widoczne wejście do gniazda zamyka mrówka-odźwierna swoją olbrzymią głową.







dają na plantacje kawy, pomarańcz lub cytryn, wyrządzając nieobliczalne wprost szkody. Obsiadają one bowiem liście, wypierając z pośród nich najbardziej soczyste i ostremi, niby nożyce, szczękami, wycinają z nich okrągłe lub wielokątne płatki. Bynajmniej nie stanowią one ich pożywienia, ale trzymając je wysoko nad swemi głowami niby parasole, maszerują szeregami do gniazda. Tutaj zdobyty w wyprawie materjał powierzają najmniejszym robotnicom, które są specjalistkami w hodowli grzyba.

Pracowite mrówcze ogrodniczki przezuwają te liście i mieszają je razem ze śliną, rozrabiając na papkowatą masę, z której sporządzają następnie bryłki, przypominające swą porowatą budową gąbki. Z papki tej wznoszą kompostową grzędę, na której rozsiewają zarodniki grzyba. Są one doskonałemi znawczyniami i jeżeli przypadkiem dostanie się na ten mrówczy inspekt zarodnik jakiegoś innego grzyba, natychmiast go usuwają, plewiąc starannie swój ogródek.

Na grzędzie po pewnym czasie ukazują się rozgałęzione strzępki grzyba a na nich liczne, drobne nabrzmienia, przypominające wyglądem swym maleńkie kalarepki. One to właśnie stanowią smakowity pokarm dla wszystkich mieszkańców olbrzymiego mrowiska. Nic dziwnego, że w razie, gdy młoda królowa opuszcza gniazdo dla założenia własnego mrowiska, niejako w posagu zabiera ze sobą zarodniki cennego grzyba, aby jego hodowlę prowadzić i w swojem nowozałożonem państwie.

Jako zapasy na „czarną godzinę" amerykańska mrówka (Myrmecocystus hortideorum) przechowuje w spiżarniach swego gniazda żywe zbiorniki z miodem. Oto niektóre z towarzyszek, wiedzione instynktem, zostają zamienione w... baryłki, wypełnione słodkim napojem. Jedna przy drugiej, napełnione obficie, wiszą u pułapu komory.

Kiedy zajdzie słońce, mrówki gromadnie opuszczają swe gniazdo i wędrują na pobliskie dęby, gdzie na liściach odnajdują kuliste galasówki. Przez całą noc aż do świtu pracują bez wytchnienia, zlizując słodką ciecz, jaką galasówki ze siebie wydzielają. Po powrocie, częścią miodu obdzielają zgłodniałe strażniczki, pilnujące gniazda, resztę zaś oddają wybranym mrówkom jako zapas na przyszłość. W lecie, gdy galasówki nie wydzielają już słodkiej cieczy, mrówki żyją na koszt nagromadzonych zapasów. — Podchodzą kolejno do żywych zbiorników z miodem i drażnią je czułkami. Przytykając pyszczek do pyszczka karmicielki, zaspokajają swój głód i pragnienie.

Południowo-europejskie mrówki (Polyergus rufescens) zwane „amazonkami", nie umieją same pracować i starać się o pokarm. Często więc urządzają napady na mrowiska swych krewniaczek i rabują ich larwy oraz jajka, przenosząc je do swego gniazda. W ten sposób zdobywają niewolników, którzy mają im służyć w przyszłości i dbać o ich utrzymanie. — Zaatakowane mrówki, oszołomione nagłą napaścią, nie mogą się nawet bronić i najczęściej umykają. Jeżeli przypadkiem jakaś odważniejsza stawi opór wrogowi, ginie niechybnie, przebita ostremi szczękami.

Mrówki strzegą swego mrowiska i pewna ilość z pośród robotnic przeznaczona jest specjalnie do pilnowania. Istnieją też żołnierze, których obowiązkiem jest stanąć w szeregach walczących, gdy mrowisku zagraża niebezpieczeństwo.

Jedna z południowo-europejskich mrówek (Colobopsis truncata) odznaczającą się wybitnie rozwiniętą głową, wykorzystuje ją jako żywą zaporę, zamykającą wejście do gniazda. Gdy mieszkanki mrowiska powracają do swej siedziby, dotykają odźwierną swemi czułkami odpowiednią ilość razy. — Poznaje ona to „umówione hasło" i wpuszcza je do wnętrza. Biada jednak jakiemuś intruzowi! Ginie on marnie w potężnych szczękach mrówki-strażniczki.

Niezwykle ciekawe życie mrówek stanowiło oddawna przedmiot badań wielu uczonych, którzy i dzisiaj jeszcze pracami swemi zapoznają nas z organizacją tych społeczeństw.

Dr M.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Z prawdziwą przyjemnością możemy donieść naszym Czytelnikom, że proces, wytoczony przez naszych wybitnych filatelistów pp. Tislowitza, Łaszkiewicza i Rachmanowa — p. Millerowi z Cieszyna został zakończony wyrokiem w I instancji. Tak, jak mogli się tego spodziewać prawdziwi zbieracze i miłośnicy filatelistyki p. Miller został skazany na 4 i 5 miesięcy aresztu (z zawieszeniem) oraz na grzywnę. Werdykt ten kończy największy proces filatelistyczny, jaki dotychczas wytoczono na ziemiach Polski. Wprawdzie obie strony zapowiedziały apelację, niemniej jednak większych zmian w wymiarze kary nie należy się spodziewać i możemy twierdzić, że sprawa znaczków t. zw. „wydania krakowskiego" została ostatecznie załatwiona. Opracowanie profesora St. Miksteina nie może już być przez nikogo uważane za niemiarodajne, a przestrogą dla tych, którzyby chcieli posługiwać się w przyszłości tego rodzaju „bronią", co p. Miller, niech będzie wyrok Sądu w Cieszynie.

Mnóstwo nowości ukazało się w ostatnich czasach: Holandja, Jugosławja oraz Stany Zjednoczone wydały znaczki pamiątkowe, wzgl. dobroczynne, u nas zaś wydano kilka dni temu, tak dawno już zapowiedziany, znaczek z Marszałkiem Śmigłym-Rydzem. Najrozmaitsze wersje krążyły na temat, czy i jakie bloki pamiątkowe ukażą się z okazji wizyty króla rumuńskiego Karola II, w każdym razie jednak szkoda, że nie były one już w obiegu, gdy Dostojni Goście znajdowali się na ziemi naszej Ojczyzny. Bezwątpienia była to bardziej uzasadniona okazja do wydania (pocztowo niepotrzebnego znaczka), aniżeli ostatnia wystawa w Gdańsku. Posiadaczom pierwszego polskiego bloku z 1928 r. podajemy przyjemną zapewne wiadomość, że Michel zmienił jego cenę na 50 Rm. (na liście 100 Rm!!).

(Ukażą się 3 bloki 4×25, 4×50 g i 4×1 zł, bez dopłat).



Górny rząd od lewej: Najnowszy znaczek polski z podobizną Marsz. Śmigłego-Rydza, oraz dwa znaczki jugosłowiańskie z podobizną króla Piotra i jego brata ks. Tomisława. W środkowym rzędzie: Serja znaczków holenderskich, wydanych na cele dobroczynne. Na dole: Znaczek U. S. A. z widokiem wojskowej akademji w West Point.

Znaczek z Marsz. Śmigłym-Rydzem jest bardzo starannie wykonany, ale ustępuje np. znaczkom za 25 i 30 gr. („legjonowym"). Niemniej stanowi on bardzo pożądaną nowość i zapewne wkrótce ukażą się dalsze wartości.

Dobroczynna serja holenderska przedstawia się mniejwięcej tak, jak i w ubiegłych latach. Są to 4 wartości z wizerunkami uczonych: $1^1/_2$ c. (+ $1^1/_2$ c. sepia, J. Maris 1837—1899; 5 c. (+ 3 c.) zielona, prof. de le Boë Sylvius 1614—1672; 6 c. (+ 4 c) lila, J. v. d. Vondel 1587—1679; $12^1/_2$ c (+ $3^1/_2$ c.) A. v. Leeuwenhoek 1632—1723. Format 25×32 mm, wykonanie: stalotyt, nakład: około 300.000.

Również w Jugosławji stawki na cele dobroczynne (dla dzieci) nie są wygórowane. Na reprodukowanych znaczkach za 0,75+0,75 din. (zielony) i 1,5+1 din. (czerwony) widzimy króla Piotra wraz z bratem. Serja obejmuje jeszcze 3 wyższe wartości, format; 27×31 mm.

Reprodukujemy ostatnią już markę z serji na cześć amerykańskiej armji i floty. Akademja wojenna w West Point, którą na niej widzimy, to olbrzymi gmach, którego lokatorom przyświeca dewiza: „duty, honour, country" (obowiązek, honor, ojczyzna).

W. H.

Artyści na cenzurowanym.

ZOFJA GRABOWSKA

Dzisiaj na cenzurowanem zasiada p. Zofja Grabowska, piękna i wysoce utalentowana artystka teatrów warszawskich, strojna w aksamity stylowej szaty, jako Sancia z „Cezara i człowieka", sztuki granej obecnie w Teatrze Polskim. Dobrze się czuje artystka w tym kostjumie, tworzy z nim pięknie sharmonizowaną całość.

Gładko zaczesane, ciemne włosy, słodka dziewczęca twarzyczka, pełne smutku i zadumy oczy. W tych dużych, zielonych oczach potrafią się jednakże czaić i niepokojące ogniki: dziewczęca słodycz ustępuje miejsca wyrafinowanej zmysłowości, gdy artystka gra jedną ze swych niesamowitych postaci kobiecych, w których odtwarzaniu celuje. Taką była Zofja Grabowska w oryginalnej sztuce czeskiego autora Capka „Tajemnica Makropulos", jako niezapomniana Beatrix Cenci na poznańskiej scenie, Salome w „Uczcie Herodjady" Kasprowicza. Potrafią być te oczy groźne i tragiczne, gdy gra Kassandrę w „Odprawie posłów greckich", natchnione w roli Hestji z „Wyzwolenia".

Zofja Grabowska, jedna z niewielu artystek grających role amantek, posiadła w wysokim stopniu sztukę charakteryzacji, unikając przez to szablonowej maski urody, nużącej widza na przestrzeni szeregu ról. Świetnie nosi kostjum. Jest aktorką stworzoną do ról par excellence stylowych.

— W najpiękniejszej toalecie nowoczesnej nie czuję się tak dobrze, jak w kostjumie. Wierzę w reinkarnację dusz — mówi artystka napoły żartobliwie, napoły serjo — a kto wie, czy w któremś tam wcieleniu nie byłam jakąś księżniczką czy inną możną damą, strojną w robrony, obcisłe staniki, naszyjniki z pereł, bogate łańcuchy i naramienniki. Gdy gram w takim kostjumie, zdaje mi się, że jestem poprostu sobą. Kostjum nie sprawia mi żadnych trudności; wprost przeciwnie, dopomaga mi w grze i przejęciu się rolą.

Tem samem zapewne tłumaczy się też wielkie zamiłowanie artystki do antycznej biżuterji, w którą tak lubi się stroić, wprowadziwszy zarazem i w życiu codziennem do swych toalet jakiś sobie właściwy, odrębny styl, świetnie zastosowany do jej urody.

Zofja Grabowska rozpoczęła swą karjerę sceniczną na deskach krakowskiej „Bagateli", zająwszy z miejsca, dzięki swym warunkom i talentowi czołowe miejsce w zespole. Potem przyszła kolej na Poznań, Łódź, a wkońcu zagarnęła ją stolica, na której scenach zdobywa sobie z każdą nową rolą, a ostatnio Sancią w Teatrze Polskim coraz większą sympatję publiczności i uznanie prasy.

Zofja Ordyńska.



Zofja Grabowska w roli Sancji w sztuce Nowaczyńskiego „Cezar i człowiek"...



Na lewo: ...i jako Rachela w „Judaszu" K. H. Rostworowskiego.

Kobold

WANDA DE RICHE

NOWELA

Mało osób zdaje sobie sprawę z tego, że nasz rozwój cielesny, a również duchowy, przedstawić można graficznie linją krzywą, której największe wygięcie odpowiada pełni sił żywotnych, a ramiona — wstępujące i zstępujące — młodości i starości człowieka. Początek i koniec tej krzywej, która odbiega od poziomu, określamy w życiu potocznem mianem urodzenia się i śmierci. Życie jest więc równoznaczne z wzniesieniem się nad poziom, a opadanie wdół zbliża nas do niebytu.

Teoretycznie rzecz biorąc, poszczególnym miesiącom i dniom czasokresu młodości odpowiadać muszą jednak jakieś miesiące i dni w wieku podeszłym, gyż krzywa naszego żywota znajduje się w swoim przebiegu zawsze dwa razy w tej samej odległości od poziomu, wyobrażającego nicość. Człowiek winien więc w swojem życiu chwilę i każde wrażenie przeżyć powtórnie, chociaż w odwrotnym kierunku, a jedynym tego warunkiem jest przebycie szczytu, oznaczającego najwyższy rozwój jego sił fizycznych. I nie ulega wątpliwości, że tak dzieje się rzeczywiście. Ale niemożność stwierdzenia, że minęliśmy okres największej tężyzny względnie nieświadomość, kiedyśmy go minęli, przekreśla wszelkie nasze rachunki i obliczenia. Tylko przez porównanie i drobiazgowe studjum dziejów ludzi wielkich, głośnych i sławnych upewniamy się w pewnej mierze w przekonaniu, że wszystko w życiu przychodzi dwa razy.

Może nie zastanawiałbym się nigdy nad wartością tej hipotezy, gdyby nie Henryk Oleski, mój nauczyciel i opiekun, który był jej gorliwym zwolennikiem. I to, co od niego słyszałem, możnaby nawet uważać za jej potwierdzenie w praktyce. Albowiem dzięki zbiegowi okoliczności znalazł on punkty zaczepne, które pozwoliły mu ustalić przebycie najwyższego wzniesienia, jakie osiągnęła jego życiowa krzywa. Punktami temi były pewne wydarzenia, powtarzające się okresowo — wydarzenia, o charakterze tak dziwnym, że nie mógł ich nigdy przeoczyć. Utrwaliły się one w jego pamięci w najdrobniejszych szczegółach i dały mu możność porównania. Były też dla niego, jakby ostrzeżeniem na przyszłość; co więcej, umożliwiły prawie że precyzyjne oznaczenie daty śmierci.

Historja, jaką mi opowiedział mój opiekun, zakrawa na bajkę, jeśli jednak weźmiemy pod uwagę jej zakończenie i wnioski, wyprowadzone przez niego samego, w duszy każdego z nas zbudzić się muszą wątpliwości. Ponieważ nie okazał się kłamcą, a potwierdzić to mogą świadectwa licznych ludzi, którym zapowiedział, kiedy umrze i ponieważ trudno uważać go za proroka, byłbym skłonny zapatrywać się na problem określanej zgóry śmierci Henryka Oleskiego jako na jeden z nielicznych i jaskrawych dowodów, przemawiających za teorją istnienia wspomnianej „krzywej żywota", którą uzmysłowić sobie możemy tylko graficznie, ale która bezwzględnie nie jest pojęciem oderwanem.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że ludzie milczący i zamknięci w sobie miewają od czasu do czasu chwile szczerości, w których okazują nieuzasadnioną chęć do zwierzeń. Doprawdy, nie mógłbym powiedzieć, co skłoniło mego opiekuna do opowiedzenia mi swojej historji. Nie darzył mnie nigdy zbytniem zaufaniem, a różnica wieku sprawiała, że i ja przywykłem odnosić się do niego raczej z szacunkiem, niż poufałością. W danym wypadku — może po raz pierwszy i ostatni w życiu — zwrócił się do mnie jednak, jak do przyjaciela i kolegi i narażając się nawet na szyderstwo, mówił o sobie rzeczy, które mnie zdumiały. Nigdybym go nie posądził o romantyczne skłonności, a jednak wówczas wydał mi się marzycielem, który w otaczającym nas prozaicznym świecie szuka cudów i jak wielkie dziecko widzi to, czego inni już widzieć nie potrafią.

Zaczęło się od uwag na temat ludowych podań i bajeczek. Do ławki, na której siedzieliśmy w Parku Miejskim, podszedł przekupień, proponując nabycie jednej z książek, przyniesionych przez niego w podręcznej torbie. Były to popularne „dzieła", poświęcone pamięci Rinaldiego, Ali Baby, Aladyna, Pięknej Meluzyny i innych znakomitości tego rodzaju. Barwne karty tytułowe przemawiały do wyobraźni. Nie mogłem oderwać oczu od podobizny sympatycznych karzełków, rozpaczających nad losem Śnieżyczki, zamkniętej w szklanej trumnie. I nawet po odejściu przekupnia starałem się odtworzyć w myśli poszczególne epizody tej histo-rji, którą czytałem przed laty i która wzruszyła moje dziecinne serce.

— Niestety! — rzekłem z westchnieniem. — Minęły czasy, kiedy człowiekiem opiekowały się krasnoludki. Krasnoludki z długiemi brodami i w śmiesznych, ogromnych czapkach...

Opiekun mój, który trwał w milczeniu, kreśląc laską tajemnicze znaki na piasku chodnika, podniósł głowę i spojrzał na mnie znacząco.

— Jesteś tego pewny? — zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

— Byłżebyś innego zdania? — rzekłem.

Nie kwapił się z odpowiedzią, ale po chwili, kiedy już zapomniałem o sprzedawcy książek i popularyzowanych przez niego baśniach, wrócił niespodziewanie do tego samego tematu.

— Karzełki, duchy opiekuńcze, koboldy, stróże domowego ogniska... — rzekł. — Tak... Wszystko to dzisiaj puste słowa. Dla nas, ludzi dojrzałych, postacie z legend i baśni. Ale gdybyśmy tylko sięgnęli pamięcią w przeszłość...

— Mój drogi — dodał, zwracając się w moją stronę. — Ja sam spotkałem kilka razy w życiu twór, który mógłbym uważać za opiekuńczego ducha.

— To ciekawe — rzekłem.

Przestał kreślić na piasku hieroglify.

— Mogę opowiedzieć ci tę historję — rzekł. — Ma ona znaczenie nietylko symboliczne... Jakby należało przypuszczać.

Spojrzał na mnie ukradkiem, ale widząc na mojej twarzy tylko zdziwienie, przestał ociągać się.

— Wiesz dawno — rozpoczął swe opowiadanie — że ojciec mój miał niewielki majątek ziemski na Podkarpaciu. Wychowałem się pod opieką bony i aż do czasów gimnazjalnych przebywałem stale w domu rodzicielskim. Matka odumarła mnie w dzieciństwie. Przypominam ją sobie, jak przez sen. Wnosząc z portretu, który wisiał w sypialni ojca, musiała to być kobieta piękna i inteligentna. Ale nie chcę rozwodzić się nad szczegółami rodzinnemi.

Mieszkaliśmy w starym dworze, jednym z tych drewnianych, kilkuizbowych budynków, porosłych dzikiem winem i otoczonych klombami róż, malw i georginij, które spotyka się jeszcze gnieniegdzie na zapadłej prowincji. Kochałem ten dworek i uważałem go za siedzibę wszelakiego szczęścia, chociaż była to już nawpół ruina, stoczona przez grzyb i pleśń, nawiedzana przez szczury i napoczęta zębem czasu. Dziś nawet, po tylu poprawkach i koniecznej restauracji, nie zatracił on jeszcze swego charakteru i trwa, jak przeżytek z dawnych lat, które wspominam z takiem rozrzewnieniem. Urodziłem się tam, spędziłem w nim najszczęśliwsze chwile i pragnę w nim umrzeć, kiedy przyjdzie pora...

— Życie zrobiło mnie oschłym i nieufnym, ustawiczna walka o byt oraz pewne zawody — nie ożeniłem się przez pamięć na kobietę, którą kochałem i straciłem — sprawiły, że uchodzę za człowieka szorstkiego i zgryźliwego, ale ilekroć przypomnę sobie chwile dzieciństwa, spędzone w dworku rodzinnym, ogarnia mnie głębokie wzruszenie. Żal mi tych lat, kiedy rządziłem się tylko sercem i kiedy wierzyłem, że świat jest dobry, piękny i szlachetny.

— Przed dworem rozciągał się ogród owocowy, a wtyle pod wielkiemi lipami stała stodoła i drewutnia. Na skraju ogrodu znajdowały się zwaliska starego spichrza, w którym bawiłem się często w „chowanego" z wiejskimi chłopakami. W pobliżu, za sadem, płynął strumyk, zasilający sadzawkę z rybami. Na całej tej przestrzeni znałem każdy kamień, każde drzewo, każdy najdrobniejszy szczegół. Strychy i piwnice, skrytki i komory budynków gospodarskich stały przedemną otworem. A jednak dopiero w szóstym roku życia stałem się panem największej tajemnicy starego domostwa.

— Czytałem później niejednokrotnie, że dawne zamki i dwory mają swe duchy opiekuńcze... koboldy. Ale w dzieciństwie nie karmiono mnie podobnemi bajeczkami. To też pierwsze moje spotkanie z takim... ko-

boldem — sądzę, że użyłem odpowiedniego określenia — było niespodzianką.

— Spotkanie? — zapytałem.

— Tak jest — rzekł. — Spotkanie... I pierwsza rozmowa.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Może wydaje ci się to fantazją — rzekł, podejmując wątek opowiadania — ale dwór nasz miał, a raczej ma, swego ducha opiekuńczego... ujrzałem go po raz pierwszy wieczorem i sceny tej nigdy nie zapomnę.

— Siedziałem w pokoju sypialnym, czekając na bonę, która zazwyczaj układała mnie do snu. Dzwi od sieni były uchylone i światło lampy, palącej się na stole, przenikało w mrok korytarza, który dzielił sypialnię od kuchni. W pewnej chwii usłyszałem jakiś szmer i spojrzawszy ku dzwiom, zobaczyłem na progu dziwną postać. Był to maleńki człowieczek w śmiesznym, staroświeckim stroju, w długiej kapocie i szarawarach, z charakterystyczną czerwoną czapeczką w kształcie spłaszczonej głowy cukru. Miał długą siwą brodę i sumiaste wąsy. Podszedł bliżej, kładąc palec na ustach, jakby dawał mi do zrozumienia, że muszę zachować milczenie. Nie przeraziłem się, gdyż jego dobroduszna twarz i zachęcający uśmiech nie mogły budziś niepokoju. Zachowywał się, jak u siebe w domu i rzeczywiście... był u siebie. Z rozmowy, kóra zawiązała się między nami, dowiedziałem się wielu rzeczy, które mnie jednak nie zdziwiły i które przyjąłem jako coś zupełnie naturalnego. Uważał mnie za przyszłego dziedzica domostwa i chciał prosić o opiekę nad nim w przyszłości. Był już, jak twierdził, stary i znużony życiem... Kochał jednak te ściany, z którem wiązały go liczne wspomnienia i zależało mu na tem, abym i ja odniósł się do nich z miłością. Mówił o moich dziadach i pradziadach, o ich smutkach i radościach, o walce, jaką stoczyli, aby utrzymać stary dwór w posiadaniu.... Mówił mi o nieboszczce matce więcej, niż ktokolwiek w życiu... Od pierwszej chwili wydał mi się bardzo sympatyczny i kto wie, czy przywiązania do rodzinnego domu nie obudziły we mnie właśnie jego słowa. Widzisz... Byłem wówczas jeszcze dzieckiem i prośby jego poruszyły mnie do głębi.... W pewnej chwili odezwał się w pobliżu głos jednego z domowników. Dziwaczny karzełek zdjął czapkę, gestem nakazał mi milczenie i skoczył w kąt, do kominka. Potrącone przez niego wiadro przewróciło się na podłogę... Zniknął.

— Nie wspomniałem o tem spotkaniu nikomu... Nie wiem dlaczego, ale uważałbym to za nadużycie zaufania małego człowieczka. Odniósł się do mnie z taką serdecznością, że nie chciałem go zrażać...

— Widziałeś go później? — zapytałem z poważną miną.

— Dopiero po latach — rzekł mój opiekun. — Byłem wówczas w pierwszej klasie gimnazjalnej i przyjechałem na święta Bożego Narodzenia do rodzinnego domu. Tym razem zjawił się późną nocą, już po moim udaniu się na spoczynek.

— Ocknąłem się nagle i w świele księżyca, który zaglądał przez okno, ujrzałem nawprost mego łóżka znajomą postać kobolda. Przywitał mnie uśmiechem. Zjawienie się jego sprawiło mi — nie wiem czemu — wielką radość, a i on nie krył swego zadowolenia. I znów zaczęliśmy rozmawiać. Pamiętam do dzisiejszego dnia jego słowa, chociaż już wiele lat minęło od tego spotkania. Mówił, że nadchodzi czas, kiedy przestanę być dzieckiem i kiedy nie będzie mnie mógł odwiedzać. Ludzie dojrzali analizują każdy wypadek, jak twierdził. Nie wierzą w cuda, zaprzeczają możliwości rzeczy, które przechodzą ich pojęcie. I ja będę takim... Przyjaźń naszą uważa on jednak za świętą i nie chce narażać jej na spaczenie.... Nie chce, abym widział w nim coś innego, jak opiekuńczego ducha mego rodzinnego domu. Zobaczymy się jeszcze, to pewne. Ale wtedy będę już miał za sobą lata buntu przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, lata klęsk i zawodów, w których sceptycyzm, nieufność i samolubstwo kierować będą nieraz mojemi czynami. Albowiem zawsze przychodzi czas, kiedy człowiek zaczyna wnikać w siebie, kiedy budzi się w nim znowu dziecięca wiara i kiedy chce znów kierować się raczej sercem, niż rozumem...

— Nie chodzi mi jednak o wytłumaczenie zmiany usposobienia, jaka dokonuje się w wieku podeszłym. Mam wrażenie, że uwagi... kobolda odnosiły się do czegoś innego. Ja dziś wiem, że miał słuszność. Wiem, gdyż przyszły długie lata, w których nie mogło mi się w głowie pomieścić, że złudzenie... dziwną jakąś wizję... wziąłem za rzeczywisość... że mogłem, chociaż przez chwilę, wierzyć w istnienie na ziemi... karzełków z bajki.

— A może była to jednak naprawdę halucynacja? — rzekłem.

Potrząsnął swą siwą czupryną i rzekł z uśmiechem: — Takie było moje zdanie... Kobold, jak wspomniałem, liczył się z tem w każdym razie i to drugie nasze widzenie się było zarazem pożegnaniem na długi okres czasu. Dlatego podszedł do mnie i uścisnął mnie silnie za rękę. — Dowidzenia! Chłopcze! — rzekł. — Zobaczymy się jeszcze! — Jego czerwonka czapeczka mignęła przed mojemi oczyma, kiedy zniknął pod łóżkiem...

— Widziałeś go jeszcze... potem? — zapytałem.

Wpatrywał się przez chwilę w końce butów. — Stało się, jak przepowiedział — rzekł. — wyrosłem na młodzieńca, potem na mężczyznę... Zapomniałem chwilowo o naukach młodości, a do moich dawnych wierzeń i zapatrywań odnosiłem się z lekceważeniem. Duchy opiekuńcze! Któżby w to wierzył!?

— Lata minęły — ciągnął dalej swą opowieść. — Dziesiątki lat. Zaglądałem rzadko do starego dworu, w którym gospodarzyła moja daleka krewna. Wśród ciągłej walki o byt, wśród ciągłych zmagań się z losem, krzywa mego żywota — było to ulubione wyrażenie mego opiekuna — osiągnęła swoje najwyższe wzniesienie. Przebyłem jej szczyt...

Westchnął, ale jakby wstydząc się chwilowego wzruszenia, mówił teraz z ożywieniem: — Wspominałem ci niejednokrotnie, mój drogi, że każde wrażenie i każdą przygodę przeżywamy w życiu dwa razy. Raz w młodości, drugi raz w wieku podeszłym. To też, kiedy znowu ujrzałem mego kobolda, był to dla mnie niezbity dowód, że zdążam ku kresowi żywota... ku tej nicości, która oznacza połączenie się krzywej naszego istnienia z poziomem.

— Było to przed laty... Po dłuższej nieobecności zawitałem znowu do rodzinnego domu i spędziłem w nim kilka dni. Stare drzewa, gaje róż, gąszcze dzikiego winogradu, ściany chylące się do upadku i podpierane z roku na rok, ścieżki, któremi stąpałem, strumyk i sad — wszystko to witało mnie znowu. A ja czułem się, jak syn marnotrawny, który wraca z dłuższej wędrówki na łono rodziny. Fala nagłego rozrzewnienia objęła mnie. Zrozumiałem, że jedyne szczęsne chwile w życiu spędziłem tylko tutaj i że dziś po tylu rozczarowaniach dałbym wiele, aby wrócił się znów błogosławiony okres dziecińctwa. I wierzysz, mój drogi... Rozpłakałem się raz pierwszy od lat pięćdziesięciu....

— W noc tę nie mogłem zasnąć bardzo długo... Tyle myśli cisnęło mi się do głowy! Obrazy przeszłości powstawały i znikały przed memi oczyma, a zmurszałe ściany domostwa zdawały się witać mnie tajemniczemi szmerami.

— Nagle mignęła przede mną czerwona czapeczka kobolda, który wychylł się z pod łóżka. Uścisnął mi rękę z uśmiechem. Przywitaliśmy się, jak dawni przyjaciele. Nigdybym nie przypuścił, że spotkanie to wywrze na mnie tak wielki wpływ. Uczułem się znowu sobą. Tak, mój kochany... Zrozumiałem, że znowu godny jestem jego przyjaźni, gdyż przestałem być zwolennikiem życiowych „nowinek". Bunty przeciw obowiązującym na ziemi odwiecznym prawom miałem już poza sobą. Wzywał mnie głos ziemi.

— Innemi słowy, przyszedłeś do przekonania — rzekłem — że znajdujesz się już na linji pochyłej, prowadzącej do schyłku żywota. Na ramieniu zstępującej krzywej. o której mi tyle razy wspominałeś.

— Zrozumiałem — rzekł z naciskiem — że zbliża się kres mego żywota i że powinienem stać się godnym zaufania... kobolda. Tak, rozmowa z nim miała dla mnie decydujące znaczenie. Powrót do tradycji wydał mi się jedynem honorowem zakończeniem życiowej karjery po tyloletniem uganianiu się za iluzjami.

— Nie wiem, jak długo rozmawiałem z karzełkiem i nie wiem, jak do tego przyszło, że zbudziłem się dopiero rano. Widocznie zasnąłem nagle, lub straciłem przytomność. Dopiero na drugi dzień, rozpamiętywując to zdarzenie i zastanawiając się nad szczegółami mego spotkania się z tym... tworem, zdałem sobie sprawę... że między wizytą ostatnią i wizytą z przed lat opiekuńczego mego ducha zachodzi łudzące podobieństwo. Tylko, że poszczególne stany tego spotkania następowały po sobie w odwrotnym porządku...

— Uważasz to za potwierdzenie swej hipotezy o równoległości wrażeń przeżytych za młodu i w wieku podeszłym — rzekłem. — Ale w takim razie musiałbyś zobaczyć kobolda jeszcze raz w życiu.

— Widziałem go — rzekł z naciskiem. — Zeszłego roku. I to nasze spotkanie — sądzę, że ostatnie — uprawnia mnie do wyprowadzenia pewnych wniosków na przyszłość.

— Było to wieczorem. Wróciłem z przechadzki po ogrodzie i miałem zamiar udać się na spoczynek, kiedy nagle uwagę moją zwrócił jakiś hałas. To przewróciło się wiadro z węglami... Kobold potrącił je, wyskakując z kominka. Przyłożył palec do ust, nakazując mi milczenie i dopiero, kiedy przebrzmiały w oddali kroki mojej służącej, którą przyzywał do kuchni jakiś głos, podszedł do mego fotelu i włożył na głowę czapeczkę, którą trzymał w lewej ręce. Nie chcę zanudzać cię opisywaniem naszej rozmowy. Dziękował mi za to, że dochowałem przyrzeczenia, danego przed laty i że nie zapomniałem o domu rodzinnym... że wstąpiłem w ślady ojców i dziadów, którzy starali się o zachowanie starego dworku. Niestety, zejdę z tego świata bezpotomnie, a nowonabywca zburzy zapewne siedzibę karzełka i wypędzi go precz. Zdawało mi się, że w oczach małego człowieczka zabłysły łzy, ale jego pogodny uśmiech dowodził, że nie chce okazywać słabości. A ja... ja byłem znowu, jak dziecko.... szczęśliwe, pełne ufności, nie znające trosk. Słowa kobolda uspokoiły mnie pod wieloma względami. Prawdę mówiąc, zawdzięczam im tę pogodę ducha, jaką się cieszę od tego czasu. I kiedy odszedł, kładąc znów palec na ustach, jakby prosił o zachowanie tajemnicy, zapomniałem, że zjawienie się jego dowodzi zbliżającej się śmierci i bliskiego pożegnania się z tym światem... zapomniałem, że nie zobaczę go już nigdy... Serce me przepełniała radość... Byłem dumny z siebie... dumny z tego, że nie zawiodłem zaufania i że jak moi ojcowie pozostałem wierny ideałom młodości.

— Mówisz o śmierci — rzekłem, kiedy skończył opowiadanie. — Sądzę, że to przesada. Wyglądasz doskonale i cieszysz się dobrem zdrowiem. Nie chcę cię urazić, ale mam wrażenie, że ulegasz sugestji.

Spojrzał na mnie, jakby z politowaniem. — Nie lękam się śmierci i jestem na nią przygotowany — rzekł. — Bóg chciał, że dzięki tym czterem spotkaniom z opiekuńczym duchem naszego domostwa mogę oznaczyć dokładnie czas, kiedy umrę. Miałem sześć lat i trzy miesiące, kiedy ujrzałem ko-

Dokończenie na str. 31-ej

Dwadzieścia jeden petard, imitujących z wielkim hukiem dwadzieścia i jeden strzałów armatnich, obwieściło w ubiegłą niedzielę wybór i koronację króla cygańskiego. Mimo, że nie wstrząsnęła posadami starej Europy żadna nowa rewolucja (Hiszpanja jest w tym wypadku poza nawiasem), ani nie zmieniły się jej karty polityczne, powstało na jej terenach nowe królestwo.

„Moim jest cały świat" — mówi z dumą cygan, włócząc się od wieków z miejsca na miejsce, mając w nocy nad głową wyiskrzony gwiazdami firmament niebieskiego pałacu, a w dzień do wyboru wszystkie drogi i ścieżki, prowadzące przed siebie. Takie też to i to nowe królestwo cygańskie — królestwo bez ziemi.

Że cyganie są włóczęgami, nie wynika to bynajmniej z braku zamiłowania do własnego kąta. Chcieli go bowiem zdobyć, przywędrowawszy w XIV wieku z Małej Azji do Europy, a mając już wtedy w ręku swój fach, którym się trudnią do dziś dnia, kowalstwo i kotlarstwo, pragnęli szczerze i uczciwie pracować. Ale cóż z tego, skoro ich nigdzie nie chcieli przyjąć. I tak przepędzani z miejsca na miejsce, zmuszeni prowadzić koczowniczy żywot, już tak nawywadzić koczowniczy żywot, już tak nawykli do ustawicznej wędrówki, że stała się ich drugą naturą, koniecznością i potrzebą życiową.

Tajemnica niegościnnego przyjęcia cyganów przez ludy europejskie tkwi w głównej mierze w ich pierwotnej nazwie, która się wywodzi od słowa „athinganoi", co przetłumaczone na polskie znaczy „nie dotykaj mnie". Była to nazwa sekty, do której należeli pierwsi cyganie, przybyli z Azji Mniejszej, jak twierdzą niektórzy etnografowie z Egiptu. Nie dotykaj mnie! Nic dziwnego, że takich „przyjemniaczków" nikt nie chciał przygarnąć i użyczyć im na swej ziemi gościny. Z „athinganoi" zrobił się z czasem skrót „cygan", choć jeszcze w wielu krajach używa się nazwy „acygan".



Poniżej: Kontrkandydat nowoobranego króla, Rudolf Kwiek z rodziną (pierwsza od prawej: żona zabitego króla Matjasza, córka Rudolfa).

KRÓLESTWO BEZ ZIEMI



Janusz Kwiek, nowoobrany król cyganów.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. „AS"

Wreszcie po tylu wiekach wędrówki i tułeczki po całym świecie cyganie, a jest ich jeśli im wierzyć można, ponoć sześć miljonów, zapragnęli osiedlić się na jakimś choćby najskromniejszym skrawku ziemi, stworzyć własne, samodzielne państwo. Wybierają się do Mussoliniego z prośbą o pozwolenie osiedlenia się w Abisynji, marzy im się miejsce w Lidze Narodów, czterech ministrów w rządzie, minister spraw zagranicznych, wewnętrznych, szkolnictwa i kolonizacji, własne szkoły, warsztaty, banki, ubezpieczalnie...

A narazie jest dopiero król... Prawdziwy król w koronie i z berłem, wybrany przez przedstawicieli cyganów ze wszystkich krajów Europy. Koronacja odbyła się z wielką pompą z udziałem prawosławnych władz duchownych, na Stadjonie Wojska Polskiego w Warszawie. Że tam tron był wypożyczony z rekwizytorni Wielkiej Opery, a płaszcz królewski nosił pod kołnierzem z królików, udających bez powodzenia rasowe gronostaje, numer porządkowy garderoby Teatru Narodowego, mój Boże! cóż w tem dziwnego? Czy świeżo upieczone państwo Cyganerja ma być odrazu Imperjum Brytyjskiem, gdzie i tak mimo wielowiekowej wprawy urządza się próbne koronacje, a karoce królewskie przechowuje w muzeach pod kloszem? I skąd taki biedny cygan, choćby i piastował godność cygańskiego senatora, może być posiadaczem garnituru frakowego, cylindra i lakierków, stanowiących obowiązujący strój na tak niezwykłych uroczystościach. Wietrzyła się zatem na panach senatorach, mających wybierać króla, garderoba z „wypożyczalni fraków i smokingów na bale i reduty", a na głowach sterczały dumnie cylindry i szapoklaki z najrozmaitszych epok, o różnych kształtach.

Fotografowie mieli roboty po wyżej uszu, terkotały niezmordowanie aparaty filmowe, mikrofon, słysząc po raz pierwszy w swem życiu nieznane mu dźwięki mowy cygańskiej, transmitował z wielkiem zastrzeżeniem mowę tronową, którą wygłosił do swych wiernych ludów przez radjo król cyganów, Janusz I. z Milanówka.

Na prawo: Insygnja władzy królewskiej.



Poniżej: Janusz Kwiek w szatach koronacyjnych w otoczeniu elektorów.



A trybuny, zapełnione tysiącami widzów, szalały wprost z radości, patrząc na siedzącego z powagą na tronie króla, w koronie podobno ze szczerego srebra i pozłacanej (czy aby tylko nie ma w tem jakiegoś cygaństwa?) oraz takimże berłem w spracowanej przy klepaniu mosiężnych rondli dłoni. Król po przyjęciu darów w postaci kwiatów i złotego zegarka na długim srebrnym łańcuchu, oraz po złożeniu wiernopoddańczego hołdu z przyklękaniem na jedno kolano od swych senatorów, rozpoczął z miejsca urzędowanie. Dobrał sobie dwór, mianując swym adjutantem Sergjusza Kwieka, a prezydentem Związku Cyganów Aleksandra Kwieka oraz jego zastępcę. Potem, jak przystało na postępowego władcę, udzielił swego pierwszego wywiadu międzynarodowej prasie, rozdzielając w międzyczasie na prawo i lewo autografy, podpisując się skromnie jedynie swem nazwiskiem rodowem „Kwiek". Królewska małżonka, młoda i piękna Róża była jeszcze skromniejsza. Umieszczała zamiast podpisu trzy krzyżyki.

Na zakończenie uroczystości odbyły się popisy solistów i chórów cygańskich. Śpiewano „Oczy czornyje" i „Wołga, Wołga", tańczono polkę cygańską i rosyjskiego kozaka.

Na zegarze historji cyganów wybiła wielka godzina. Czy tylko ten zegar nie został też wypożyczony z jakiejś rekwizytorni?

Z. Ord.

CIEKAWE DROBIAZGI

Literatura, grafika i reklama.

Przed niedawnym czasem w Paryżu — sprzedana została na aukcji kolekcja reklamowych broszur wielkiego handlu win „Nicolas" — za sumę 1.500 franków. Kolekcja sprzedana została pewnemu bibljofilowi, który po zażartej walce zdobył wreszcie zbiorowe wydanie dla siebie.

Suma 1.500 franków jest wprost obrzymia, jeżeli się zważy, że uzyskano ją przy sprzedaży objektu służącego reklamie i rozdawanego bezpłatnie, honorowanym klientom paryskiego składu win.

Cały wspomniany wyżej materjał reklamowy firmy „Nicolas" był swego czasu omawiany w europejskich i amerykańskich czasopismach graficznych przez krytyków, którzy wyrażali się o nim w superlatywach. Zresztą pierwszorzędne nazwiska artystów którzy opracowali stronę graficzną broszur i literatów, którzy napisali teksty, dawały gwarancję, że wydawnictwo to będzie miało powodzenie i stanie się poszukiwanem.

Od czasu wojny światowej reklama poczyniła olbrzymie postępy. Kiedy nie wystarczał już sam pomysł, reklama wzięła sobie do pomocy malarzy, których miejsce zajęli zczasem artyści graficy. Wkrótce też literaci zaczęli współpracować na wielką skalę z reklamą. Dziś nikomu nie wydaje się dziwnem, że reklamowe teksty, reklamowe utwory muzyczne, a zwłaszcza plakaty — podpisywane są przez wybitnych artystów.

Początki reklamowych tekstów, napisanych przez literatów, sięgają odległych czasów. Balzac zamieszczał w prasie bardzo często komunikaty, reklamujące jego własne utwory, mniejwięcej trej treści: „Jakiż pierwszorzędny talent narratorski! Co za werwa, co za dowcip! Jaka nieustępliwość i odwaga w piętnowaniu zgnilizny naszej cywilizacji! Czytajcie „Baśnie filozoficzne" Balzaca"....

Równie pilnie jak Balzac, reklamowali się W. Hugo, Stendhal i Dumas. Słynny zaś Mallarmé pierwszy przyjął zamówienie na inserat, reklamujący firmę kolonjalną.

Historja powstania słynnej powieści pani Beecher Stowe pt.: „Chata Wuja Toma" łączy się również z reklamą. Oto w okresie poprzedzającym wojnę secesyjną Amerykanie północni szukali sposobów zaszkodzenia Stanom południowym, znajdującym się w pełnym rozkwicie. Uznano jednomyślnie, że jedynym sposobem naprawdę skutecznym będzie pozbawienie Stanów południowych czarnych robotników, zatrudnionych na plantacjach. Aby jednak przeprowadzić zamierzony plan, trzeba było znieść prawo zatrudniania afrykańskich niewolników. Odwołano się do uczuć humanitarnych. W tym to czasie ukazała się wspomniana powieść pani Beecher Stowe.

Książka rozeszła się w miljonach egzemplarzy po całym świecie i ukształtowała opinję w ten sposób, że nie podniósł się ani jeden głos w obronie południowych Stanów, kiedy te stanęły w obliczu katastrofy wskutek odpływu rąk roboczych.

W jakiś czas potem powstała w Stanach Zjednoczonych firma pod nazwą „Publishers Booklet Advertising Service". Firma w ten sposób reklamowała utwory literackie, że np. dołączała do spisu potraw w restauracjach pierwsze rozdziały powieści.

Gdy w miarę polepszenia się „gatunku" reklamy — rosła jej wartość, zaczęto zamawiać ją u grafików i literatów. Paul Valery naprzykład napisał całą broszurę pt. „Woda" poświęconą pewnemu gatunkowi wody mineralnej. Było to wprost arcydzieło, w którem dowcip, dobry smak i esprit francuskie były znakomicie reprezentowane.

Edmund Rostand — reklamował wierszem smak pewnego wina, a najpoczytniejsi pisarze francuscy, jak P. Morand, Colette, Dorgelès, Tristan Bernard, Marcel Prévost układają teksty reklamowe dla najróżniejszych fabryk.

W Polsce od długiego czasu opracowanie tekstów reklamowych i propagandowych powierza się także literatom.

Ułożenie dobrego tekstu, czy odpowiedniego hasła sprzedażnego dla reklamowanego towaru, nie należy do rzeczy łatwj. Podczas urządzonego kiedyś we Francji konkursu na krótki tekst relkamowy dla pewnej firmy, okazało się, że najlepsze rozwiązanie trudnego zadania nadesłał nie literat, ani dziennikarz, ale... pewien szofer.

W pewnych bowiem wypadkach potrzebny jest pomysł, hasło dające się łatwo spopularyzować, a nie literackie opracowanie tematu, czy formy reklamy.

Jak długo żył człowiek przedhistoryczny?

Vallois, autor szeregu badań nad szkieletami człowieka kopalnego, doszedł na podstawie obserwacyj szwów na czaszce do ciekawego wniosku co do długości życia człowieka przed wiekami.

Uczony określa wiek człowieka kopalnego na mniejwięcej 50 lat. Człowiek kopalny bowiem umierał przed zaniknięciem szwów na czaszce, a więc w granicach do lat 50-ciu, to jest przy pierwszym osłabieniu fizycznych sił.

Kto wie, czy człowiek kopalny nie umierał przy „pomocy" swych współbraci, co przy znanych i zachowanych do dziś u plemion żyjących w trudnych i pierwotnych warunkach bytowania — sposobach pozbywania się niewygodnego i zniedołężniałego członka plemienia — wydaje się być dość prawdopodobne. W każdym jenak razie możemy się cieszyć, że po wielu bezowocnych próbach średniowiecznych magów, udało się współczesnemu człowiekowi przedłużyć życie przynajmniej o lat kilkadziesiąt.

Środek przeciwko chorobie morskiej.

C. Lillingston radzi jako skuteczny środek przeciwko chorobie morskiej — taniec. Jest rzeczą pewną że czynnik psychiczny odgrywa podczas choroby morskiej dużą rolę. Jednocześnie zaś ruchy taneczne neutralizują w pewnym stopniu krytyczne kołysanie statku.

Osobom, które nie tańczą zaleca się specjalny sposób oddychania który polega na tem, że powietrze wdycha się ustami bardzo wolno, poczem następuje szybki wydech przez nos. Tego rodzaju sposób oddychania zapobiega częściowo i dość skutecznie nieskoordynowanym ruchom przepony brzurznej, które to ruchy są główną przyczyną choroby morskiej.

Między magją a medycyną.

Nieprawdopodobne recepty na jeszcze bardziej nieprawdopodobne leki znane nam są z zabytkowych dzieł lekarskich, które laik czyta tylko dlatego, by rozerwać się i uśmiać. Zdawaćby się mogło, że brednie, jakiemi często na pozór wydają się wskazania lekarzy z przed wieków, miały miejsce tylko na terenie Europy. Tymczasem Wschód osławiony głęboką wiedzą i prastarym doświadczeniem, używa też lekarstw, których sposób przyrządzania i stosowania nasuwa silne analogje z gusłami naszych znachorów z zapadłych Kresów.

Tak np. Chińczycy stosują przeciwko grypie woreczek żółciowy węża. To niesamowite lekarstwo daje doskonałe rezultaty. Podobno płukanie gardła płynem, w którym znajduje się pył potłuczonych pereł ma pomagać skutecznie na anginę i leczyć nawet najcięższe schorzenia tego rodzaju. Ten sposób leczenia trudno jest wypróbować z powodu wysokiej ceny pereł, przyczem wydaje się on być mało popularnym nawet w Chinach, a to z tych samych przyczyn. W razie wypadku anginy raczej już należałoby polecać sproszkowany kieł antylopy, który ma działać równie skutecznie.

Szare jaszczurki mają działać na zewnętrzne zranienia i obrzęki. Lekarze jednak stosujący ten środek, gwarantują za skutek swego lekarstwa tylko w tym wypadku, gdy pacjent połknie jaszczurkę „na żywo"....

Innem polecanem lekarstwem, tym razem na bezsenność — jest herbata, przyrządzona z pewnego gatunku czarnych chrząszczy. Herbata jest nieszkodliwa, a pacjent po napiciu się jej zasypia zdrowym, kojącym snem.

Od bardziej ironicznych komentarzy na temat lekarstw i wiedzy Wschodu trzeba się powstrzymać choćby z tego powodu, że niejednokrotnie w wypadkach, w których sławy naukowe Europy stawały bezradne przed zagadką — zdawaćby się mogło nie do rozwiązania, wiedza tajemniczego Wschodu ingerowała w ostatniej chwili z nieomylną pewnością i stu procentową skutecznością.

Tylko słynna powściągliwość ludzi wschodu i zazdrosne przestrzeganie tajemnicy sporządzania środków leczniczych — zdaje się tłumaczyć niestosowanie wielu znakomitych azjatyckich specyfików leczniczych w Europie.



PREZENTUJ BROŃ! KRÓL JEDZIE!

Król Karol II w towarzystwie P. Prezydenta R. P. przejeżdża przez Bramę Florjańską w drodze powrotnej na dworzec krakowski.

Fot. A. Wasilewski, Kraków

KLIMAT
do wyboru



Na lewo: Fragment jednego z największych drapaczy chmur w Nowym Jorku.

Bieżące lato prawdopodobnie znowu należeć będzie do gorących i suchych. Zapełnią się znowu uzdrowiska i letniska, plaże i kąpieliska. — Ale przecież w gruncie rzeczy tylko bardzo mały odsetek ludności może spędzać czas w tych warunkach klimatycznych, które w danej porze roku są najbardziej dogodne: mimo wielkich upałów nie ustaje praca w fabrykach, w biurach, w warsztatach pracy umysłowej i fizycznej, no i... w gospodarstwach domowych. Ba, ale cóż zrobić! — mówi większość ludzi dotkniętych upałami — klimatu chyba nie zmienimy! Pozornie zdawałoby się, że ci sceptycy mają rację. Ale po zastanowieniu się widzimy, że tak źle znowu nie jest i że także i dziedzina klimatu nie jest niedostępna dla ingerencji człowieka. Coprawda w niejednym wypadku wpływ człowieka na klimat był raczej ujemny. Przez wycięcie lasów zmieniony został klimat na znacznej przestrzeni kuli ziemskiej na gorsze. Temu też zawdzięczamy niejedną powódź. Taksamo nieracjonalna gospodarka wodna dużo szkody narobiła. Ale z drugiej strony już Prometeusz, wydzierając ogień bogom, położył podstawy pod sztuczną klimatyzację ludzkich osiedli. Urządzenia do ogrzewania mieszkań i cały sposób budowania ich wytworzyły przecież specyficzny klimat naszych mieszkań. Klimat sztuczny, niepodobny do klimatu otaczającego nas zewsząd. Pamiętajmy, że gdy mowa o klimacie w tym artykule, to przedewszystkiem mamy na myśli temperaturę powietrza, ciśnienie jego, wilgotność i obieg powietrza.

Zagadnienie ogrzewania mieszkań w zimie jest prawie, że rozwiązane. Zmiany wprowadzone ostatnio ułatwiają przeważnie tylko korzystanie z nowoczesnych urządzeń ogrzewczych.

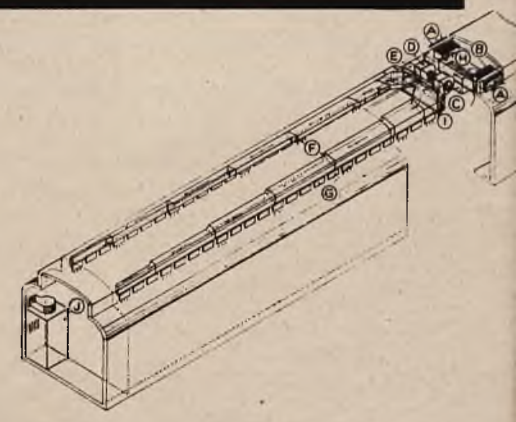
Czyżby więc nie dało się czegoś uczynić w lecie, coby „regulowało" nam klimat? Nie mówimy oczywiście o takich fantastycznych projektach jak np. zmiany kierunku Golfstromu i t. p. Ale właśnie w małym zakresie domowym dałoby się chyba niejedno zrobić przy pomocy środków, jakiemi technika obecnie rozporządza.

Otóż „ex occidente lux"! Znowu jak w wielu innych wypadkach, gdy chodzi o zdobycze techniki, Ameryka pierwsza wytyczyła tu kierunek.

W Ameryce aparatura dla sztucznej klimatyzacji staje się coraz bardziej popularna. — Służy ona przeważnie zarówno w lecie jak i w zimie. I napewno rozpowszechni się ona wkrótce, tak jak rozpowszechnił się samochód, radjo czy sztuczne lodownie.

Urządzenie to ma na celu dostarczenie takiego powietrza, które najbardziej odpowiada jej pod względem zdrowotnym. Jeżeli sobie uprzytomnimy, że człowiek w ciągu dnia wdechuje około 13 do 16 kg powietrza, a zatem kilkakroć więcej, aniżeli spożywa jadła i napojów, to zadziwi nas lekkomyślność i obojętność ludzi wobec jakości powietrza, wśród którego żyją i którem oddychają. Wprawdzie różnice indywidualne zawsze istnieją i istnieć będą także i w tej dziedzinie. Jeden woli temperaturę nieco wyższą, drugi czuje się fatalnie w powietrzu spokojnem, trzeci znowu nie znosi przewiewów i t. d. Ale drogą obserwacji zdołano ustalić warunki, w których przeciętny człowiek najlepiej się czuje. Jeżeli chodzi o ciepło, to jest to temperatura od plus 18 do 25 stopni, przeważnie około 18.5 stopnia, przyczem powietrze musi być spokojne, przy lekkim zaś wietrzyku dogadza nam powietrze nieco cieplejsze.

A teraz drugi czynnik niemniej ważny, choć nie przez wszystkich dostrzegany i doceniany należycie: wilgotność powietrza. — Ilość pary wodnej zawartej w powietrzu odgrywa rolę niemniej ważną, jak sama temperatura powietrza. Tak jak w zimie czujemy się nieraz nieszczególnie w lokalach należycie ogrzewanych, ale o zbyt suchem powietrzu, tak znowu w lecie dolega nam, szczególnie w naszym klimacie, zbyt duża wilgotność powietrza. Podróżnicy, którzy przebywali w różnych okolicach o klimacie tropikalnym opowiadają, że nieraz doskonale znosili całodzienną temperaturę około 37 stopni ciepła i głównie dlatego, że powietrze było suche. Natomiast nie byli zdolni do żadnej pracy fizycznej w miejscach, o temperaturze nawet niższej, gdy powietrze było zanadto wilgotne. Jest to właściwie zupełnie jasne i zrozumiałe. Człowiek sam posiada w swoim organiźmie już pewnego rodzaju aparaturę regulującą, przynajmniej w sposób bierny, jego własny indywidualny klimat. To biologiczne urządzenie polega przedewszystkiem na zdolności wydzielania potu i przytem ochładzania się, gdy temperatura jest za wysoka. Ale ta autoregulacja jest niedostateczna w chwili, gdy w powietrzu jest zadużo wilgoci, bo wtedy pot tak szybko nie paruje. Przekonano się, że najlepiej czują się ludzie w wyżej podanych granicach temperatury 18 do 25 stopni, wówczas gdy względna wilgotność powietrza wynosi 40 do 70 proc., t. j. gdy w powietrzu niema więcej niż 70 proc. tej ilości pary wodnej, która w danej temperaturze może być zawarta w powietrzu.



Oto urządzenie pozwalające regulować klimat w pociągu. A — punkt wejściowy dla świeżego powietrza, B — filtr dla powietrza, C — aparat oziębiający i pozbawiający powietrze wilgoci. Dwa wentylatory D wciskają powietrze do komory E, skąd przechodzi do kanalików F, następnie wychodzi w punkcie G i po okrążeniu zostaje wessane w H. Część zużytego powietrza wypływa w punkcie 1.

Prócz temperatury i wilgotności powietrza ważnym czynnikiem zdrowotności jest czystość jego. Powietrze nie powinno zawierać w sobie składników stałych czy to w postaci kurzu lub pyłów, czy też w postaci drobnoustrojów. Ale to wszystko nie wystarczy jeszcze dla otrzymania powietrza zupełnie zdrowego. Decydują tu także elektryczne własności powietrza. Zawsze znajdują się w niem jakieś cząsteczki naładowane elektrycznie, które nazywamy „jonami". „Jony" mogą być dodatnie i ujemne. Otóż przekonano się, że najlepiej dogadza naszemu zdrowiu gdy w powietrzu panuje przewaga „jonów" ujemnych nad dodatniemi i gdy cząsteczki powietrza naładowane elektrycznie są liczne i małe zamiast nielicznych a dużych.

Poniżej: Projekt gmachu Muzeum Narodowego w Krakowie.



Wszystkie wyżej wymienione najważniejsze czynniki, od których zależy klimat w naszem mieszkaniu, względnie w naszem otoczeniu dają się już obecnie znanymi środkami technicznymi regulować zupełnie dowolnie. Istnieje całe mnóstwo aparatów do wytwarzania zdrowego powietrza i do regulowania klimatu. Wymieńmy tu na pierwszem miejscu aparat wynaleziony przez P. Prezydenta R. P., prof. I. Mościckiego. Aparat ten służy do wytwarzania górskiego powietrza w mieszkaniu i jest przeznaczony przedewszystkiem dla zakładów leczniczych, koszar, teatrów, kin, sal odczytowych i t. d. W aparacie tym powietrze ogrzewa się do odpowiedniej temperatury, zostaje nawilżone do pożądanego procentu wilgoci, naświetlone lampą kwarcową w celu wzbogacenia powietrza w „jony", no i oczywiście przefiltrowane i oczyszczone z kurzu i pyłu.

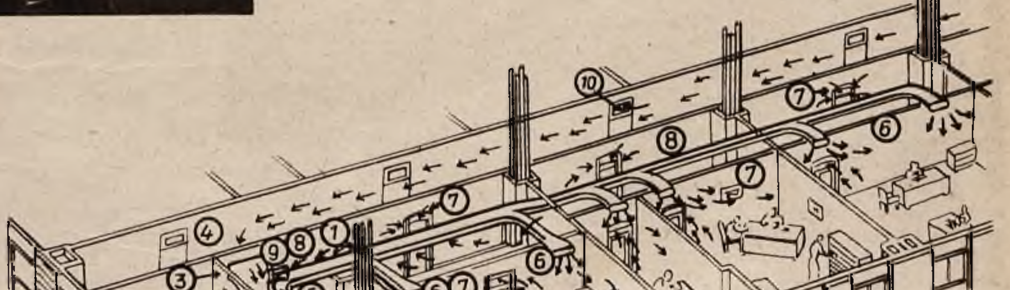
W Ameryce przeprowadza się w chwili obecnej przedewszystkiem „klimatyzację" warsztatów pracy, a więc fabryk i biur. — W niektórych fabrykach sztuczna klimatyzacja jest niezbędna wprost dla samego procesu fabrykacyjnego. Produkt wytwarzany w fabrykach nie klimatyzowanych, a więc o klimacie zmiennym, zależnym od zmian atmosfery, wypada niejednolicie i ma mniejszą wartość, aniżeli fabrykat, pochodzący z wytwórni, urządzonej nawskroś nowocześnie. Odnosi się to n. p. do fabryk tekstylnych. Znanem przecież jest twierdzenie, że dobra jakość angielskich materjałów wełnianych zależy w znacznej mierze też od specyficznego klimatu angielskiego, t. j. od tamtejszego powietrza nasyconego przeważnie wilgocią. Taksamo w fabrykach tytoniu, czekolady i cukierków, w przemyśle papierniczym i t. d. potrzebne są szczególne warunki klimatyczne dla wytworzenia produktu pełnowartościowego. W fabrykach tych stosuje się przeto już oddawna, i to także w Europie odpowiednie urządzenia do klimatyzacji. Prócz tego pojawiły się już w Ameryce i są coraz szerzej stosowane aparaty klimatyzacyjne dla domów mieszkalnych. Tak n. p. drapacz chmur „International" w dzielnicy Rockefellera, w Nowym Jorku, liczący 38 pięter, posiada dla każdego mieszkania, ba, nawet dla każdego lokalu urządzenie do klimatyzacji, podobnie jak w każdym lokalu znajdują się radjatory dla centralnego ogrzewania. Każdy pokój posiada połączenie z systemem kanałów powietrznych, dostarczających powietrza chłodzonego i filtrowanego z centrali, znajdującej się w tym samym gmachu. Temperaturę powietrza i jego wilgoć można wyregulować dla każdego pokoju osobno, tak, jak się to robi z centralnem ogrzewaniem. Stworzona sztucznie temperatura i wilgotność utrzymuje się automatycznie w tej samej wysokości. Powietrze rozchodzi się w pokoju z otworów tak rozmieszczonych i z taką nieznaczną szybkością, że nie odczuwa się zupełnie jakiegoś przeciągu lub wiru powietrznego. Zużyte powietrze uchodzi przez otwór znajdujący się ponad drzwiami wejściowemi (słusznie w tym wypadku zwany „lufcikiem") na korytarz. Stamtąd część powietrza dostaje się na zewnątrz, a część zostaje zpowrotem wessana do centrali, gdzie wraz z dodatkowem świeżem powietrzem ulega przedewszystkiem oczyszczeniu i zdezynfekowaniu, w zimie nawilżeniu, a w lecie odwilżeniu a wreszcie i ochłodzeniu. Powietrze ochłodzone krąży w wyżej wspomnianych kanałach uchodząc w górę. W kanałach znajdują się rurociągi z zimną wodą dla utrzymania niskiej temperatury powietrza. O wielkości tego urządzenia można mieć wyobrażenie z tego, że maszyny chłodzące znajdujące się w centrali drapacza chmur są tak wielkie, że mogłyby wytworzyć dziennie 80.000 kg lodu. Tak więc w każdym pokoju powietrze ma właściwie wyższe ciśnienie aniżeli na zewnątrz, dzięki czemu do pokoju nie dostaje się powietrze z ulicy, nieczyste i nieklimatyzowane, tylko raczej przenika z pokoju nazewnątrz. Można sobie wyobrazić, jaką rozkoszą jest przebywanie w takich mieszkaniach w czasie wielkich upałów.

Ale nietylko mieszkańcy takiego drapacza chmur mogą znaleźć się w tem szczęśliwem położeniu: urządzenia do klimatyzacji posiada bardzo wiele domów małych. Co więcej, od kilku lat amerykańskie wagony kolejowe są zaopatrzone w urządzenia klimatyzacyjne. Tak jak u nas — gdzie każdy wagon jest właściwie dla siebie elektrownią i posiada dynamo do wytwarzania prądu elektrycznego dla oświetlenia, tak samo w nowoczesnych wagonach amerykańskich, obracające się koła wozu uruchamiają całe urządzenie do klimatyzacji a więc dynamo o mocy 7.5 KW. Generator ten zaopatruje w prąd urządzenie chłodnicze i ładuje baterję akumulatorów, tak, że nawet w czasie postoju na stacjach urządzenie chłodnicze funkcjonuje dzięki prądowi z bateryj. Powietrze wessane przechodzi najpierw przez filtr, poczem zostaje ochłodzone w chłodni, uruchamianej elektrycznie i odwilżane. Wentylatory wtłaczają powietrze do wagonu, a zużyte powierze uchodzi częściowo nazewnąrz, a częściowo zpowrotem do aparatury. Okna wagonu są oczywiście w tym wypadku zamknięte. Pasażerowie w takim pociągu mają stale świeże powietrze, wolne od kurzu, a dzięki zamknięciu okien nie dochodzi hałas od zewnątrz, ani też niema przeciągu. Mimo przejazdu przez okolice, których temperatura wynosi 40 stopni C, w wagonie panuje temperatura około 20 st. Takich wagonów jest obecnie w ruchu 6000. Oczywiście, że także i samochody i samoloty mogły być klimatyzowane, chociaż w tym wypadku trudności są dużo większe. Jakie znaczenie ma klimatyzacja dla szpitali, a zwłaszcza dla sal operacyjnych, jest chyba zrozumiałe. Miejmy nadzieję, że wkrótce także i do nas zawita to nowe dobrodziejstwo techniki, dzięki któremu praca w miesiącach upalnych nie będzie tak uciążliwa, jak obecnie. Warto zaznaczyć, że powstający obecnie w Krakowie, dzięki ofiarności całego społeczeństwa gmach Muzeum Narodowego, zostanie również zaopatrzony w nowoczesne urządzenia do klimatyzacji.

Inż. J. A.



Oto wnętrze amerykańskiego pociągu, posiadającego odpowiednią aparaturę, stwarzającą dowolny klimat w przedziałach.



Urządzenie klimatyczne w „Rockefeller Center" w Nowym Jorku. 1. Przewody wodne, 2. urządzenie, które w punkcie 3 wysysa powietrze z wewnętrznych korytarzy, a następnie oczyszczone rozprowadza kanałami (5) po poszczególnych pokojach (6). Urządzenie 7 wypuszcza powietrze na zewnątrz, przyczem część jego dostaje się znów do aparatu oczyszczającego (9), reszta odpływa na zewnątrz (10).

Pomimo olbrzymich postępów jakie ludzkość poczyniła w odkryciach nowych lądów i zbadaniu różnych tajemnic dalekich krain, jeszcze dziś staje człowiek bezradny wobec natury, uniemożliwiającej poznanie nielicznych wprawdzie części kuli ziemskiej. Takim mało zbadanym zakątkiem świata jest olbrzymie pasmo górskie Himalaje. I nic w tem dziwnego, skoro weźmiemy pod uwagę jego rozległość, wysokość i panujące tam warunki klimatyczne. Zdobycie przez podróżników tych na 6.000 metrów wznoszących się gór, na których szczytach leży wieczny śnieg, a potężne wichry szaleją przez cały nieomal rok, nie jest bagatelą i nawet współczesny człowiek łączy pojęcie tych gigantycznych gór z pojęciem śmierci. Olbrzymie lasy otuliły góry w niższych partjach szczelną zasłoną: dęby, klony, a dalej rododendrony, które pną się po skalistych zboczach górskich. Wkońcu dochodzi się do kresu życia: nie spotyka się ani człowieka, ani też zwierzęcia, gdyż natura jest tu silniejsza od wszelkiej ludzkiej woli i instynktu życiowego. Sama nazwa Himalajów, wywodząca się z sanskrytu, określa „śnieżne mieszkanie".

Mieszkańcy okolic podhimalajskich odczuwają dziwną trwogę przed tą niegościnną krainą i tylko zmuszeni przez ekspedycje naukowe lub też myśliwskie, udają się w wysokie góry, aby brać udział w łowach na olbrzymiego niedźwiedzia, jako naganiacze. Polowania takie urządza się na wysokości 2.000 metrów, przyczem jednak kilka dni myśliwi pną się po skałach, pędząc przed siebie zwierzynę. Polowanie rozpoczyna się od poruszenia stad gazel i lisów, które w popłochu uciekają. W całem królestwie zwierząt poczyna panować niepokój, który dochodzi aż do króla tych okolic — niedźwiedzia. Łowcy zrzucają olbrzymie kamienie, które spadają do barłogów niedźwiedzich, wypłaszając z nich „lokatorów". Niedźwiedź nie znosi hałasu i ceni sobie swój spokój, to też wnet zaczyna się jego wędrówka w górę. Dziwną jest rzeczą, że niedźwiedź, uciekając, nigdy nie idzie w dół, tylko zawsze szuka schronienia w wyższych regjonach, spinając się nieraz do tych części Himalajów, gdzie panuje wieczna zima. Jest w tem zachowaniu zwierzęcia jakiś dziwny paradoks: chroniąc swe życie, idzie on tam, gdzie panuje wieczna śmierć! Pogoń za niedźwiedziem nie jest rzeczą łatwą, gdyż im wyżej idzie, tembardziej ziemia staje się jego sojusznikiem, obsuwa się, staje się ślizga. a flora w postaci mchów utrudnia pogoń. Nadchodzi chwila, w której człowiek staje oko w oko z niedźwiedziem: jedna minuta nieuwagi, jedno potknięcie się, a myśliwy stać się może ofiarą... swojej ofiary. Pada strzał, godzący niedźwiedzia w paszczę. Z roztrzaskanymi szczękami, brocząc krwią, niedźwiedź z dziwną zwinnością ucieka przed swoim prześladowcą. Potężne siły witalne, mieszczące się w jego olbrzymiem cielsku, pozwalają mu jeszcze

Obok: Po trudach uciążliwego polowania nareszcie pierwsza zdobycz...





Obozowisko myśliwych w czasie nocy.

Poniżej: Wspaniały okaz niedźwiedzia, upolowanego w Himalajach.

POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIE







Od lewej: Obóz na wysokości 2000 m ponad poziomem morza, z którego wyruszy wyprawa w góry. — Okaz, schwytany żywcem, przywiązali myśliwi łapami do konaru drzewa. — Nieraz trzeba transportować upolowaną zwierzynę na barkach uciążliwym szlakiem górskim, który ciągnie się przez dziesiątki kilometrów.

Wszystkie zdjęcia C. Anders — Paryż.

znieść kilka śmiercionośnych strzałów, które ugodziły go, rozszarpując ciało w krwawe strzępy. Wkońcu dobija go ostatnia kula, przeszywająca mu serce. Tragedja mieszkańca Himalajów dobiegła do końca, człowiek pozostał zwycięzcą i wlecze swoją zdobycz w stronę doliny.

Ale nie zawsze polowanie kończy się zabiciem niedźwiedzia, krajowcy nieraz starają się dostać go żywym w swoje ręce. W takich wypadkach stosują zupełnie odmienną taktykę, używając specjalnych forteli. Niedźwiedź, znany łakomczuch, urządza sobie nieraz wypoczynkowy „weekend" i wtedy schodzi w doliny, by pokrzepić się leśnym miodem. Wiedzą o tem myśliwi i podcinając drzewa, na których szukać będzie niedźwiedź słodyczy, umieszczają w pobliżu ich duże siatki, mające się stać zasadzką dla niedźwiedzia. Oczywiście, że podczas uczty niedźwiedź nie zwraca uwagi na niebezpieczeństwo i runąwszy z drzewem w siatkę, staje się łupem ludzi. Następnym etapem jego losów to — ogród zoologiczny lub cyrk, w których budzi u widzów dreszczyk wzruszenia, ale nikt już nie bierze go na serjo. Spryt i fortele ludzkie okazały się bardziej skutecznemi, niż jego olbrzymia siła... **g.**



NA »KRAŃCACH ŚWIATA«

Rozkazem swoim, wydanym w Ziembinie, konie gwardji, konie osobistego taboru, zaprzęgi marszałków rozkazał cesarz oddać artylerji, księciu d'Elchingen, nakazując bezwzględnie, by co do jednej armaty wyprowadził z borysowskich bagien.

Żadna z „córek cesarza“ — armat polowych i ciężkich dział opatrzonych na lawetach złotą cyfrą „N“, nie mogła się dostać w ręce Czaplica ni Wittgensteina. Sam zatrzymał sobie tylko cztery konie, które wprzęgnięto do purpurowej jego karety, zatrzymał sobie tylko siwego z czarną grzywą i ogonem jabłkowatego „Taurisa“, na którym cwałował tuż poza karetą cesarską Dunin-Wąsowicz. Wielki koniuszy cesarstwa, nieodstępny Duroc, sekretarz osobisty i kilku oficerów eskorty, jechało w chłopskich saniach owiniętych w kożuchy.

Przeglądając rozkazy i skrypty wielkiego Korsykanina można sobie z geograficzną dokładnością odtworzyć czarną drogę odwrotu, która przecież w tradycji ludu wileńskiego nazwana została „Czarnym Traktem“.

Drugiego grudnia 1812 roku rozkaz o stosowaniu sądów polowych wobec grabieżców i maruderów, nakazujący bezwzględne rozstrzelanie, podpisany został w Stajkach — Białym dworze, należącym po dziś dzień do Bohdanowiczów.

Cesarz pisał swym nieczytelnym charakterem na małym stoliku mahoniowym, który po dziś dzień zachował się w tym dworze, a potem nie pozwalając nawet zdjąć sobie butów, zdrzemnął się na jesionowej kanapce pół leżąc, gdyż kanapka twarda była i za mała nawet na krótkie nogi Napoleona. A potem już jechał wprost traktem brzozami sadzonym, wśród puszcz ziemi polskiej kresowej coraz to prędzej, coraz to prędzej, byle dotrzeć do Paryża.

I cały ten trakt i dwory te i ziemia ta ostały się takie, jak dawniej, ba, ostały się takie, jak za Batorowych czasów, bo jeszcze po traktach widnieją tam kamienne krzyże o kształtach krzyża Virtuti Militari z wyrytemi insygnjami Króla Stefana jak gdyby żywe pamiątki pochodów jego Chorągwi, idących na Wschód. Ziemia kresowa, ziemia wileńskiego pogranicza, tak bliska od głównych centr komunikacyjnych, a zarazem i tak daleka, to ziemia żywych kamieni, żywych cieniów przeszłości, których zetrzeć z jej powierzchni nie mogła nawet wojenna zawierucha.



Charakterystyczny dla kresów drewniany kościółek w Batorynie.

Dwór Borowskich w Łukawcu trzysta siedemdziesiąt lat zgórą liczy. Jak na prywatną sadybę, która się po dziś dzień ostała, to przecież unikat, bo poza kilku zameczyskami, niema dworów tak starych, nawet w Królestwie Kongresowem, które przecież wojenna zawierucha mniej uszkodziła, a tutaj na tych ziemiach widmo wojny nie ograniczyło się do pożogi, ale ryła ziemię, lasy i bagna, czego pamiątki przecież po dziś dzień pozostały.

Dziwnym zbiegiem okoliczności najbardziej pamiętny pas ziemi historycznej stanowi dzisiaj pogranicze. Właściwie jednak granica znaczona co pewien odstęp białemi słupami granicznemi i zasiekami drutowemi, przecina jakgdyby tę ziemię, dzieląc świat pogranicza, świat ziem rdzennie polskich na dwie połacie tak, że niejednokrotnie rozdział historji przerwany jest jak gdyby w połowie i dopowiadać sobie należy ciąg dalszy, ale już nie ze świadectw, które tam pozostały, ale z aktów i dokumentów historycznych. Gdy powrócono po pożogach wojennych do tych stron, poza domami i kościołami, nie pozostało tu nic, więc trzeba było brać się od nowa, do gruntownej restauracji, kraj powoli zaludniać się począł, a dzisiaj wielkie rany zadane wojną, zabliźniły się tak, że niemal i śladu nie pozostało i okolica ponownie zakwitła dobrobytem. I tutaj może bardziej aniżeli na każdym innym odcinku ziem Rzeczypospolitej, uwydatniać się zdaje wspaniałe dobrodziejstwo cywilizacyjne centrów i ośrodków polskości, które skoncentrowane po dworach, stanowią jak gdyby trwałe fundamenty kultury rzymskiej, na której każda praca polityczna i społeczna oprzeć się może. Ziemiaństwo kresowe tej najbardziej kresowej i rubieżowej połaci wileńskiego pogranicza, zdało egzamin dojrzałości w tej misji. Praca misyjna nie zasklepia się w błędnem kolisku korzystania z własnego dobrobytu i wynoszenia się pewną odrębną gatunkowością, ale przedewszystkiem idzie ku środowisku wsi z najracjonalniej pojętym argumentem niesienia dobrobytu materjalnego. Jest to argument, który przemawia najskuteczniej. Porównanie przez samego włościanina białoruskiego skrajnej nędzy kołhoznej, widzianej przez zasieki drutowe z dobrobytem własnym, i uprzemysłowieniem rolnem, idącem od dworu, który przecież poważnie zasila wieś, samo zjednywa lud jaknajbardziej, a krzepnąca z każdym rokiem i tężejąca gospodarka agrarna jest najlepszym kontrargumentem wszystkich buńczucznych haseł, idących z tamtej strony na praktyczne poparcie których poza nędzą i niedolą kołhoznika niema innego dowodu.

Wielkim sznurem poza linją zasiek drucianych po naszej stronie ciągną się białe dwory polskie, wśród których gdzieniegdzie strzela drewnianą wieżycą linja strażnicy KOPU.

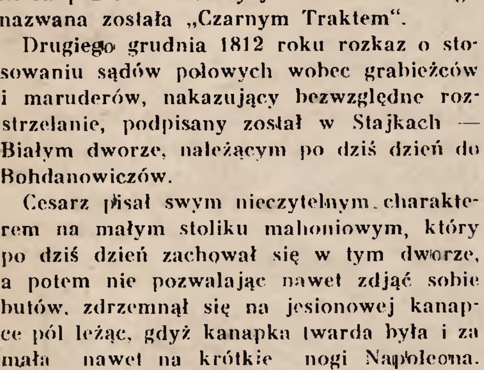
O działalności cywilizacyjnej i kulturalnej KOPU pisaćby należało całe rozdziały, a niechaj wzmianki w pismach codziennych, mówiące o bibljotekach wędrownych, o ekspedycjach sanitarnych, dożywianiu i cywilizowaniu zorjentują ciekawych. Nie można też pominąć i znakomitej roli, jaką odgrywa tu kościół. Skromne niekiedy, modrzewiowe kościółki po grabieży wojennej ożyły dzisiaj i znów promienują słowem Bożem, a doskonały dobór księży, jakgdyby misjonarzy, spełnia tu swą misję z należytem zrozumieniem ważnego posterunku.

Gdy się zwiedzało ten kraj przed kilku laty i gdy się odwiedza go dziś, widzi się niesłychany postęp, wzmagający się z każdym dniem wzrost dobrobytu i coraz to bardziej występujące skojarzenie tych ziem i ludzi z resztą Macierzy, na której przedmurzu stanęły te wsie, kościoły, strażnice i dwory.

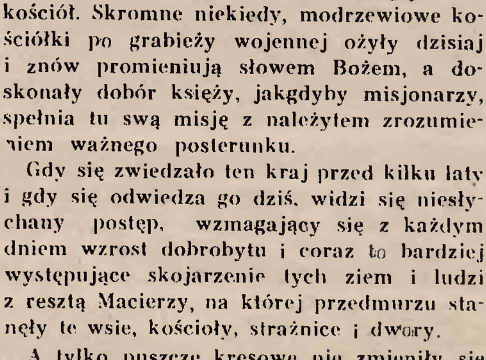
A tylko puszcze kresowe nie zmieniły się ani o jotę i dobrze się tak stało. Szpecąca zawsze las cywilizacja nie tknęła ich i tak jak za Batorowych czasów, za czasów Marsyljanki, czy pohuku dubeltówek powstańczych, szumią dziś pełne majestatu, bogate w rzadkiego zwierza dostojne swą dumą i pierwotnością. A tylko czasami, gdy się wspomni jakieś wielkie imię, zaszumią konarami stare dęby.

Bo pamiętają..

Feliks Dangel.



Wyjazd na bażanty.
Wszystkie zdjęcia F. Dangel.



Dwór w Stajkach Wł. Bohdanowiczów, gdzie kwaterował cesarz Napoleon.

LAMPY OGRODOWE

Dom współczesny poczyna mieć swój styl, podobnie jak miał go w wielkich epokach historycznych.

Architektura, wnętrze domu, ogród, powiązane są ściśle z sobą logiką funkcjonalizmu i harmonijnem obmyśleniem przedmiotów użytkowych. Przemysł współczesny wytwarza coraz więcej przedmiotów o charakterze artystycznym. Zwłaszcza w zakresie oświetlenia posiadamy już wielki wybór lamp, zastosowanych do charakteru każdego mieszkalnego wnętrza.

Minęły czasy, dawnej, uniwersalnej naftowej lampy dziwacznej i zawsze przyciężkiej od przebogatej a niepotrzebnej ornamentyki.

Światło zarówno dzienne, jak i sztuczne odgrywa decydującą rolę w współczesnem mieszkaniu.

Przemiłem miejscem odpoczynku w porze letniej jest balkon, lub ogród. Oświetlenie tych miejsc powinno być przemyślane i dostosowane do charakteru nietylko pod względem technicznym, ale i artystycznym.

Podajemy Czytelnikom naszym wzory różnorodnych lamp przenośnych, służących do oświetlenia zarówno ogrodów, jak i balkonów.

Widzimy, iż twórcy tych przedmiotów używają form prostych i niekosztownych materjałów. Świeczniki współczesne przypominają swym kształtem średniowieczne kaganki, kute z prętów żelaznych i blachy. Dawne formy szklannych dzbanuszków powracają do współczesnego domu w nowej stylizacji. Nie małą rolę w projektowaniu lamp ogrodowych odgrywa różnorodność szkła opalizującego, mlecznego, z wtopioną siatką i i. Zamiast dawnych pretensjonalnych kandelabrów, bambus lub kijek lakierowany, podtrzymuje kulę świetlną.



Na prawo: lampa, imitująca średniowieczny kaganek.
Zdjęcia Becker & Maass.



Poniżej: Lichtarz z kloszem z opalizującego szkła, podstawka kuta w żelazie, uchwyt klosza z polerowanej miedzi.

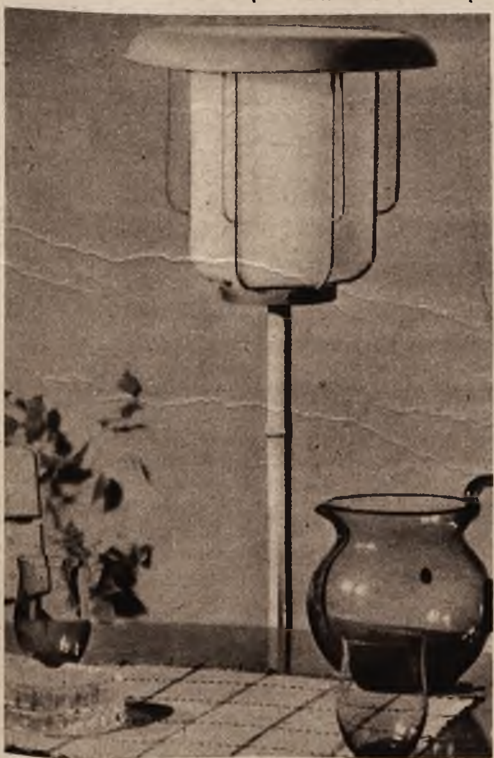
Jak widzimy z załączonych zdjęć, pomysłowość współczesnych artystów w kierunku stworzenia racjonalnej formy lamp ogrodowych jest bardzo wielka i oryginalna.

Prostota, celowość i wdzięk materjału, to zalety nowoczesnych przedmiotów użytkowych, nadających naszemu mieszkaniu własny miły charakter i bezpretensjonalny, dekoracyjny akcent.

Urządzając więc wnętrze mieszkania, nie zapominajmy o sposobach najwłaściwszego oświetlania, nietylko gabinetów pracy, ale również balkonów i ogrodów.

Dobry smak i przemyślenie rozstrzygają najlepiej w sprawach urządzenia naszych mieszkań.

MDD.



Stojąca lampa — klosz z woskowanego papieru, umbra metalowa — całość osadzona na podstawie bambusowej.



Stojąca lampa — klosz z lanego wzorzystego szkła, umbra w kształcie grzyba z metalu, podstawa z drzewa lakierowanego.

kreślonego. Przytem nastały czasy kryzysowe. Rewja kosztowała kiedyś 2 miljony franków (przed dewaluacją), i dyrekcja miała pewność, że suma ta z szybkością się zamortyzuje. Dziś środki materjalne są ograniczone. Następna przyczyna zastoju w rozwoju music-hallu to — brak artystek nowych. Dawniej było bardzo wiele różnych music-hallów w Paryżu, co pozwalało na wybieranie i formowanie wciąż nowych sił i ich lansowanie na pierwszych scenach. Obecnie zaś pozostały trzy „liczące się" music-halle w Paryżu i dwa na prowincji. Brak więc szkoły, więc niema nowych sił i dlatego wciąż wraca Mistinguett i Józefina Baker, albo są próby tworzenia rewij bez wielkich wedet, albo na wedetę bierze się — sportowca (Ladoumergue) szukając ciągłych nowości!

— Trzeba więc odnowić rodzaj music-hallu, na co pozwolą pieniądze; będzie trzeba obejść się bez wielkich talentów...

— Tak! Tembardziej, że pokazano sceny pełne tajemniczości i czaru i wraca się do rodzaju „café-concert" z przed lat. Inna trudność nowoczesna to — brak zamiłowania do zawodu i brak mechaników i służby zakulisowej! Dawniej była współpraca całego



Obraz „Perły" z rewji „Casino de Paris" w wykonaniu baletu Tacjanny Wysockiej.

ZZA KULIS MUSIC-HALLU

Louis Lemarchand przyjmuje mnie w swej zacisznej willi, położonej w pobliżu Lasku Bulońskiego w Paryżu. Siwy pan o żywem, bystrem, inteligentnem spojrzeniu. Jego nazwisko jest mało znane. A jednak jest on twórcą w ciągu ostatnich lat kilkunastu licznych rewij music-hallowych. W samych „Folies-Bergères" kreował on z 20 rewij, z kórych każda nie schodziła z afisza w ciągu dwunastu, niekiedy osiemnastu miesięcy! Więcej jednak mówi się o nagiej tancerce, niż o twórcy rewji... Nazwisko Louis Lemarchanda jest jednak cenione i poważane na obu półkulach. Właśnie wrócił on z Nowego Jorku, dokąd udał się na zaproszenie Ameryki, celem stworzenia za oceanem rewji na wzór paryski.

— Nie sądziłem, że Amerykanie cenią rewję paryską, skoro music-halle paryskie wciąż wystawiają rewje „à la Broadway", zresztą daleko słabsze od paryskich. Jakżeż tedy wyglądają prawdziwe rewje amerykańskie? — pytam.

— Jednym z takich teatrzyków to „French Casino". Jest to ogromna, szalenie luksusowa restauracja, mieszcząca 1.400 osób. Tego się nie widzi w Europie. Są to teatrzyki, w kórych przedscenie w antraktach służy do tańca. O godzinie piątej Amerykanie kończą pracę, tu spędzają często wolne wieczory; wydają dużo, ma się wrażenie, że nie umieją oszczędzać. Ale co dziwi każdego z nas, Paryżan, to fakt, że w Nowym Jorku jest mało lokali nocnych, daleko mniej, niż w Paryżu. Nie widziałem ani jednego teatrzyku varieté, a tylko jedną dewję à la paryski Ripp. „Burlesque" to coś zupełnie specjalnego. Są to teatrzyki na 300 do 1200 miejsc. Każde z tych przedstawień zmontowane jest według recepy następującej: jeden obraz z bogatą wystawą, jeden skecz zresztą wulgarny i niemiły, jeden obraz o walorach... (nagości), a raczej... rozbierania się „artystki" na scenie, co robi wrażenie nieestetyczne. Spektakl taki trwa od dziesiątej rano do drugiej nad ranem!...

Pytam go zkolei o jego rewję wystawioną za oceanem:

— Wyreżyserowałem rewję „po parysku". Kostjumy, dekoracje — są wyłącznie koncepcji francuskiej, trupa, jaką zawiozłem, składała się wyłącznie z Europejczyków i tancerek europejskich siedemnastu narodowości. Na 80 tancerek miałem tylko dwie Amerykanki! Tworzą one „genre sportif", nie posiadają jednak wyrazu. U mnie zaś



Portret Louis'a Lemarchand'a, z autografem twórcy music-hallu.

każda tancerka musi posiadać swój wyraz i to indywidualny. Nie znoszę „standartu" amerykańskiego, gdzie całą szesnastkę girlsów charakteryzuje się tak, że wyglądają jak siostry sjamskie, pozbawione wszelkich cech indywidualnych. Jak pan widzi w moich rewjach zachowuje się różne kolory włosów, różne wyrazy twarzy... Cóż panu jeszcze powiedzieć? Przyjęli Amerykanie rewję z zapałem, kurtyna unosiła się na premjerze 15 razy...

— Pozwolę sobie wobec tego na inne pytanie, na które lepiej niż ktokolwiek może mi Pan odpowiedzieć. Idzie mi o ewolucję music-hallu paryskiego...

— Doskonale rozumiem co chce pan przez to powiedzieć! Istotnie! W latach 1927—30 music-hall osiągnął szczyt powodzenia. Nie można było się wznieść wyżej wobec wypełnienia niemal całkowicie programu na-

zespołu. Dziś pracownicy-mechanicy i inni tylko czekają na koniec wieczoru. Podobnież jest i w Ameryce. To zainteresowanie pozostało u Niemców, u W[illegible]hów... Dziesięć lat temu i u nas były świetnie zgrane drużyny...

— Jak pan opracowuje rewje?

— Przygotowuję je bardzo szybko, ale dużo czasu zajmuje jej wykonanie, stworzenie i zachowanie rytmu. Bo trzeba o jednem pamiętać. Przedewszystkiem: RYTM!

— Czy rozwój środków technicznych nie stworzy nowych możliwości? Naprzykład paryski teatr Pigalle...

— Ten tear, istotnie najnowocześniejszy, okazuje się w praktyce nieodpowiedni. Nasze tempo jest większe! I staremi środkami wydobywamy to tempo lepiej niż nowymi! — W „Folies Bergères" scena ma 7 metrów głębokości zaledwie, ale tam można dokonywać cudów! Music-hall musi mieć specjalną scenę. Opera w music-hallu nie udaje się, ani odwrotnie. Pyta pan o nowoczesność układów baletowych? Pozwolić każdej z girls na indywidualność ruchów? Były próby ale nie dały skutków, bo girlsy są przywykłe do tańców zespołowych. Chyba Polki czy Węgierki nadawałyby się do takich indywidualnych tańców. Jedna z dróg odnowienia music-hallu to skasowanie snobizmu tych, którzy unikają tego rodzaju przedstawień a wtedy będzie można skasować przesądne akrobacje w music-hallu, podobające się dzisiejszej publiczności, o smaku wulgarniejszym... Co kraj to obyczaj: w Londynie do music-hallu uczęszcza publiczność bardzo elegancka, a w Paryżu przeważnie — cudzoziemcy!

Na tem kończy się mój wywiad z „asem" rewji music-hallowych Louis Lemarchand.

* * *

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że polski balet Wysockiej gości od kilku miesięcy na scenie największego paryskiego music-hallu „Casino de Paris". Program występów polskich jest nadal bogaty. Wszystkie numery tego programu są świetne i zbierają huczne brawa, ale najbardziej chyba podoba się obraz, którego osnową jest Straussowski walc. Obraz trwa 20 minut, a gdyby go powtórzono, publiczność z równem zaciekawieniem śledziłaby go do końca.

Zygmunt Frenkel.

GIRL

PATRICIA ELLIS — *Fot. Lorant, Londyn*



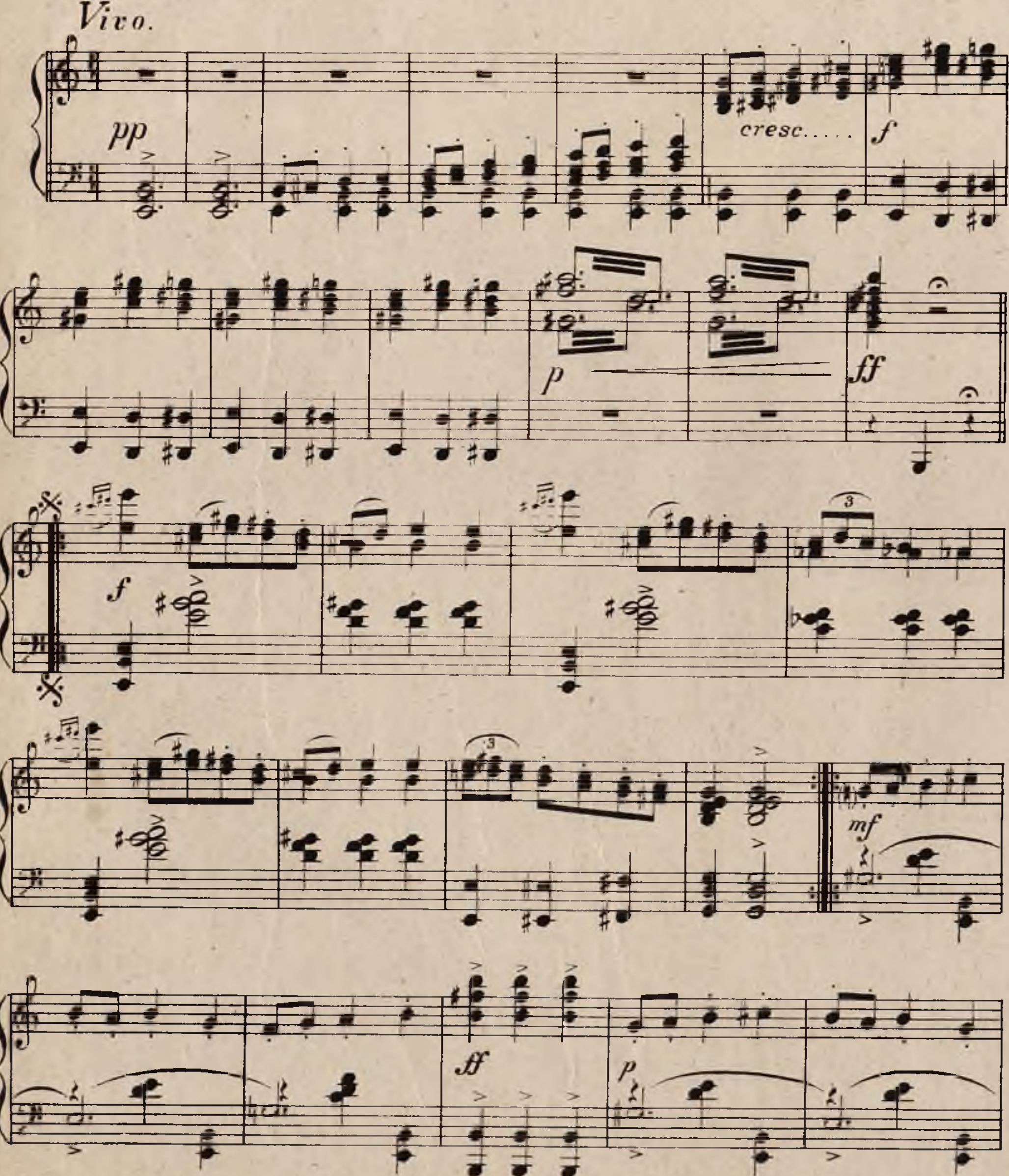
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"
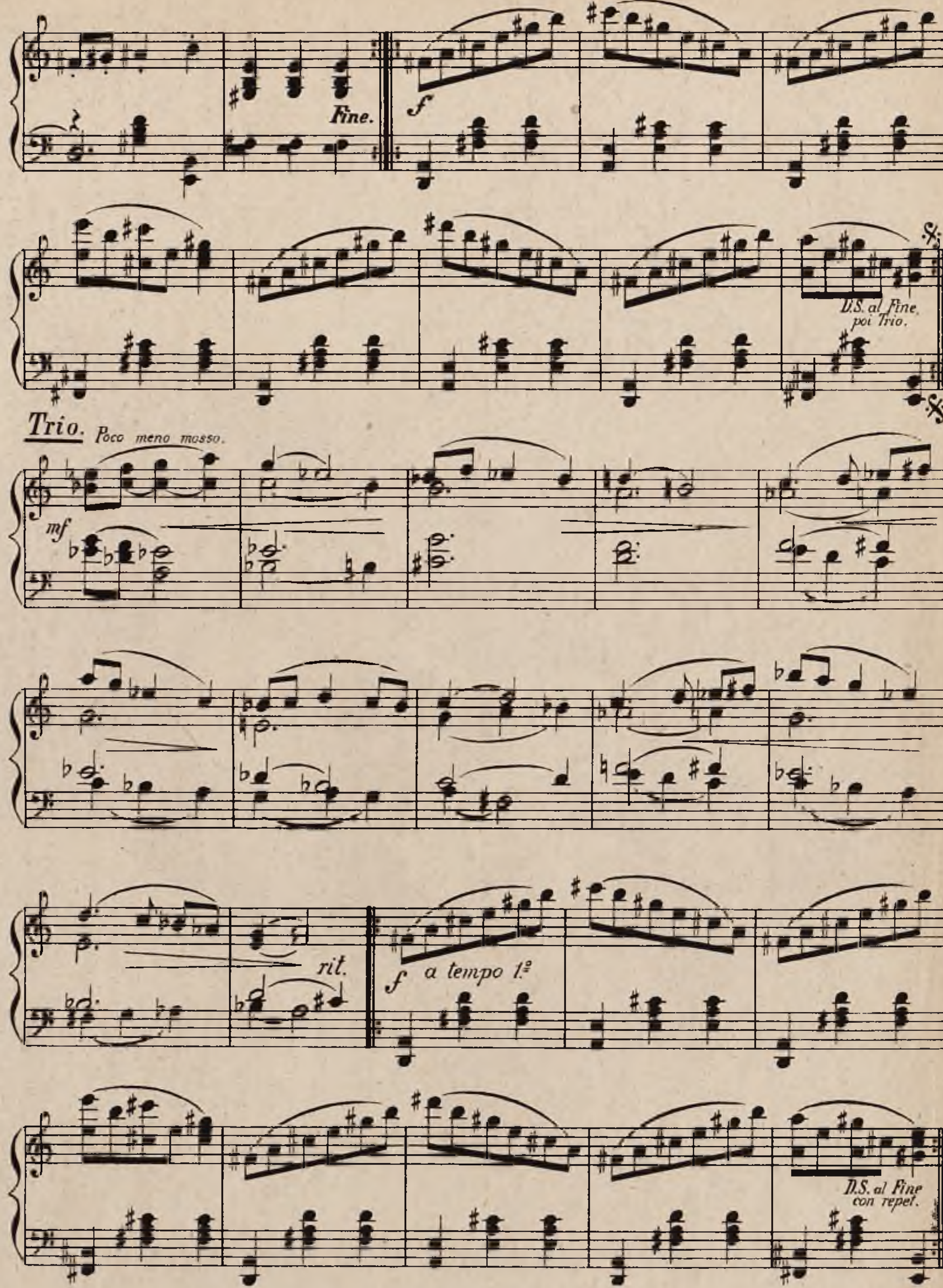


OBEREK

ze suity orkiestralnej „Lajkonik"

Stanisław Mikuszewski (1937)





ARTUR GROTTGER



WSPOMNIENIE

F. M. AREN

PRZEŁOŻYŁ
WITOLD RYBCZYŃSKI

Bo w świecie ducha —
niema pożegnania.

5-ty ODCINEK.

Nawet chciał mię rysować... a teraz, teraz stał się sławny, a moja matka tak nędznie go odprawiła! Nie byłam wprawdzie tego pewna, ale z pewnością zakazała mu dom nasz odwiedzać. Z jakiej bowiem racji kazałaby pisać fałszywy list do mnie? Przecież bądź co bądź to nie było prawdą, że pojechał do Warszawy.

Serce mi biło, ręce drżały, policzki płonęły, ogień gorzał mi w oczach. Naprożno dziadkowie starali się mię zatrzymać. Mury dławiły mię, musiałam uciec precz... dokądkolwiek.

— Będzie deszcz — mówiła babka — weź przynajmniej parasol lub idź przez Favoritenstrasse; w najgorszym razie znajdziesz dorożkę.

Zaledwie skończyła, już byłam przy drzwiach i w bramie. To prawda, po co mam zawsze iść nudną Heugasse? Swoją drogą, chodziłam nią chętnie, a to właśnie z powodu jej monotonności, która nie przeszkadzała mi w rozmyślaniach i którą szłam całkiem mechanicznie, skupiona w sobie, niczego dokoła nie widząc, chociaż znałam każdy dom i każdą gałąź zwisającą z muru Schwarzenberga. Usłuchałam więc rady babki i skierowałam się na ulicę Theresianum, która wydała mi się bez końca, zanim dotarłam do Favoritenstrasse. Jakkolwiek niebo pokryło się ciężkiemi chmurami, deszcz jeszcze nie padał.

Właśnie otwierała się przede mną, jako przedłużenie Theresianiumgasse, inna ulica — o ile się nie mylę — Schaumburgergasse. Stałam niezdecydowana, którą drogą mam pójść; w pomieszaniu bowiem zapomniałam, a może wogóle nie wiedziałam, że Favoritenstrassie wychodzi na Hauptstrasse, a potem prowadzi do śródmieścia. Zdało mi się, że właśnie Schaumburgergasse wabi mię ku sobie; nie czułam wówczas jeszcze odrazy do „Grundu", nie znałam dwuznacznego charakteru tej dzielnicy, udałam się więc w tym kierunku. Nie chciało mi się zresztą wracać do domu, a nadto ogarnęła mię chęć robienia odkryć.

Niebo widocznie nie sprzyjało memu przedsięwzięciu, gdyż zaledwie minęłam pierwsze domy, poczęło lać, jak z cebra. Moje szesnastoletnie nogi nie wiele sobie z tego robiły i biegły lekko na palcach, podczas gdy głowę chronił parasol, pożyczony od babki. Ponieważ długa suknia mi zawadzała, uniosłam ją w pospiechu, opanawana żądzą wyzwania pogody i zmagania się z nią, co sprawiało mi ulgę.

Ulica prowadziła koło pałacu arcyksięcia Rainera. To było pierwsze odkrycie. Podobał mi się w swym stylu renesansowym, w swem szlachetnem odosobnieniu od prozaicznych podmiejskich domów. Grupa wysokich drzew, piękne kwietniki... tak, to było prawdziwe wytchnienie, najmilsze pozdrowienie wiosny, płynące ku mnie ożywczem tchnieniem. Gdy tak rozkoszowałam się tym widokiem, mimo woli nasunęło mi się pytanie, dokąd ja właściwie, idąc w tym kierunku, zajdę, i zadałam je pierwszemu spotkanemu przechodniowi.

— Gradaus na Mittersteg — brzmiała odpowiedź w podmiejskim dialekcie.

Mittersteg — Mittersteig — to jest przecież ulica, na której mieszka Grottger. Najwyraźniej widziałam na kopercie: Mittersteig i — o ile się nie mylę — nr. 19. *) Wprawdzie nie byłam tego pewną, ale cóż to miało do rzeczy. Szłam dalej w kierunku „Mittersteig". Trochę ścisnęło mi się serce, gdy doszedłszy do końca ulicy, nagle przeczytałam na nowym trzypiętrowym domu: Mittersteig nr. 19. To była zuchwałość z mojej strony przyjść właśnie aż tutaj. Nie śmiałam podnieść wzroku na kamienicę i zniżyłam parasol, jak tylko mogłam.

Ale ponieważ już się tu znalazłam, przystanęłam na środku jezdni, by rozejrzeć się w jedną i drugą stronę i wbić sobie w pamięć obraz otoczenia. Tworzyły je stare przeważnie brzydkie jedno- i dwu-piętrowe domy, nie wyglądające zbyt zachęcająco, jak gdyby nie należały do wielkiego miasta, lecz stały raczej na prowincji, przyczem trzypiętrowy dom wyglądał olbrzymio i obco.

Lecz nie pozwoliłam sobie na dłuższą obserwację. Osiągnęłam to, co zamierzałam: poznałam dokładnie dzielnicę, w której mieszkał mój geniusz. Szybkim krokiem popędziłam wzdłuż słabo ożywionej, jak gdyby zapomnianej przez pojazdy, ulicy.

Już dochodziłam do rogu, gdy wtem stanęłam, jak wryta. Przeciwległą stroną ulicy szedł ten, z powodu którego całą tę ekskursję podjęłam. Szedł lekkim krokiem, z pochyloną w zamyśleniu głową, w polskiej czapce, trzymając w prawej ręce zwój papieru, którym uderzał o uda, jak ktoś, kto intensywnie myśląc, ręką bezwiednie porusza. Wiernego charta przy nim nie było. Czy był tak zamyślony, iż nie zauważył, że tu ma skręcić na Mittersteig, czy miał zwyczaj zachodzić od innej strony ulicy — dość, że uniknęłam nagłego spotkania, którego tak się obawiałam (gdybym miała więcej przytomności, mogłam była skryć się w pierwszej lepszej bramie). Tymczasem on, nie oglądając się, ani nie zbaczając, przeszedł poniżej wzdłuż wylotu ulicy i nie przeczuwał, że o dwadzieścia kroków jego młoda rodaczka stała drżąca i wzburzona, jak przychwycona na gorącym uczynku zbrodniarka.

VI.

Od tego czasu wzrosła moja ciekawość do dzienników i krytyk artystycznych. Przeglądałam je pilnie, przyczem nawet feljetony nie uchodziły mojej uwagi. Pod tym względem oszczędzano mi trudu. Zewsząd schodzili się znajomi, którzy widzieli u nas w domu młodego artystę, i opowiadali o swoich wrażeniach. Pochwałom nie było końca, a ja paradowałam przed matką, przy czym ogarniała mię tak wielka radość, jakiej dotychczas nie znałam.

Teraz najgorętszem mojem marzeniem było: ujrzeć „Warszawę". Trudno wyjaśnić, dlaczego nie przyszło mi do głowy odwiedzić wystawę i obejrzeć oryginały. Zapewne nie mogłam w tym względzie zawierzyć nikomu, a pójść samej poprostu nie wypadało.

Nagle we wszystkich prawie magazynach sztuki ukazała się „Warszawa". Na Kohlmarkcie, na Grabenie, na Neuer-Markcie... wszędzie mogłam ją za wystawami oglądać. Raz i drugi

*) Według prof. Antoniewicza Grottger mieszkał na Mittersteig nr. 412, prz. tł.

przechodziłam trwożliwie obok okien, gdyż w północnych Niemczech uczono mię, iż nie przystoi młodej damie zatrzymywać się przed wystawami sklepowemi, a zwłaszcza przed magazynami sztuki. Jednak walka ze sobą nie trwała dłużej, niż od Grabenu do Kohlmarktu i tutaj, na rogu Plankengasse, przystanęłam koło firmy „Paterno". Ujrzeć obrazy a zapragnąć je posiąść — było dziełem jednej chwili. Dwanaście guldenów za cały cykl — toż to drobnostka w porównaniu z takim skarbem. Nie namyślając się dłużej, wstąpiłam do sklepu i nabyłam tekę z siedmioma rycinami. Przy tej sposobności dowiedziałam się, jak niebywale szybko rozpowszechniła się „Warszawa", i jaki znakomity interes zrobił nakładca, zapewniwszy sobie ze strony artysty — za stosunkowo drobną kwotę — prawo fotograficznych reprodukcyj.

Szczęśliwa z cennej zdobyczy, spieszyłam z moją teką do domu.

Nie mając własnego pokoju, przebywałam zazwyczaj w salonie, a ponieważ pobierałam jeszcze lekcje i dużo uczyłam się, czytałam i pisałam, pozostawiano mię samą, jak tylko drzwi za sobą zamknęłam. Naturalnie stało się tak i tego dnia, zwłaszcza, że mama była jeszcze na wsi, by dać pewne polecenie w kwestji urządzenia letniego mieszkania*). Kapelusz i płaszcz szybko znalazły się w rogu kanapy. Byłam w okresie „Sturm und Drang", to też północno-niemieckie przepisy porządku były u mnie w nader powierzchownem poszanowaniu. Usiadłam przed mojem biurkiem i rozpostarłam przed sobą szarą tekę, otoczoną cierniowym wieńcem

Karton I.: Oto prawy kapłan, otoczony dymem kadzidła, z głową schyloną w świątobliwej pokorze, wznosi wysoko monstrancję ku mistycznemu mrokowi świątyni, gdzie dusze zgromadzonych jednoczą się w modlitwie i błogosławieństwie. Na obliczu jasnowłosego młodzieńca, który porusza kadzielnicą, maluje się anielski wyraz szczęśliwości z najszczerszej płynący wiary.

Karton II.: Wieczór. Tu niema już ołtarza ani kapłana; jest tylko lud, pogrążony w modlitwie, w plastycznej grupie pod łukiem bocznej nawy. Bezgrzeszna niewinność we wzniesionym wzroku i złożonych rękach młodej dziewczyny, zastygła powaga matrony, zatopionej w książce, biała głowa starca, którą złamany cierpieniem podpiera prawicą, młoda kobieta o zasłoniętej(?) twarzy, opłakująca uwięzionego małżonka, a przed nią chłopak, który, przejęty boleścią matki, nie może wyprostować wątłego ciała i opiera się o ławkę kościelną. Przed nią na posadzce świątyni usiadła młoda prosta kobieta z ludu; nie może klęknąć, gdyż przy piersi trzyma niemowlę, a, obejmując prawą ręką drugie dziecko, kieruje osłupiały wzrok ku wejściu do zakrystji. Stamtąd bokiem zbliżają się Rosjanie, tam błyszczą bagnety, tam ukazują się dzicy kozacy, by przeszkodzić pieśniom i przerwać modlitwy. Oto dlaczego piękna twarzyczka klęczącej obok płowowłosej dziewczynki jest trupio blada, a jej drżąca postać tuli się do matki. Tak, to napewno kozacy; dadzą ognia, jeśliby nienawistna patrjotyczna pieśń kościelna natychmiast nie zamarła.

Karton III.: Chłop i szlachta. Oto przez wieki rozdzieleni, tu idą w zgodnem ze sobą złączeniu. U boku chłopa dwie rasowe postaci w malowniczych szlacheckich narodowych strojach. Pierwszy z nich, magnat, kroczy, zamknięty w sobie, z pełną powagi dumą; drugi szlachcic o łagodnym wyrazie oblicza, w ciężkiej żałobie, z pochyloną głową, lewa ręka na szabli, prawą podpiera ramię wieśniaka w długiej białej sukmanie, trzymającego sztandar, którego szerokie fałdy pieszczotliwie obejmują postaci obu szlachciców. Z wiarą i nadzieją patrzy wgórę szlachetna twarz chłopa; z niego to kiedyś ma moc się narodzić. Tak idą poważnie i w milczeniu, różne snując myśli; idą za trumną księcia Kościoła, który padł(?) ofiarą prześladowania.

Karton IV.: Żydzi. I oni są tutaj, dzieci Izraela, tak nieuchronni na ziemiach Polski. Uważani przez naród za obcych, niezłączeni z nim, lecz wydzieleni, jako coś odrębnego, niby wąż wiją się mu u nóg, by go chytrze i podstępnie wyzyskać. Dopiero męczeństwo patrjotów zniosło na chwilę tę niebywałą zaporę. Gmina wysłała swego rabina w futrzanej czapce i w całunie na pogrzeb innego rabina i patrjoty. Wprawdzie zmarły był biskupem, dla nich pozostał rabinem. Poważne oblicze kapłana, ocienione czapką i krzaczastymi brwiami, patrzy w zamyśleniu przed siebie, a jego ociężała postać wspiera się na gibkim, naprzód pochylonym mężczyźnie o najczystszym żydowskim typie. Przy boku rabina — być może na jego polecenie — kroczy wyniosły, okryty długiem futrem, z założonemi przed siebie rękami, przebiegle i z wyższością chytremi oczyma patrzący żyd, on, najprzedniejszy z ludu, o charakterystycznem obliczu, o długich spadających na policzki lokach i o okrągłej ostro zakończonej brodzie.

Karton V.: „Jeden z wielu", którzy przed prześladowaniem do kościoła schronić się pragnęli, by w modlitwie szukać ukojenia. Słynął zapewne z miłości ojczyzny i nieugiętych przekonań. Jeszcze stopa jego nie zdołała przekroczyć progu ocalenia, gdy strzał śmiertelny go dosięgnął. Chwyt za serce — słanianie się — szukanie oparcia — upadek... i oto legnie trup na „Placu Zygmunta".

Karton VI.: Oto w skromnym kościółku przed bolesnym obrazem Mater Dolorosa (?) stoi w ciężkiej żałobie przedwcześnie owdowiała kobieta, trzymająca za rękę dwóch wątłych chłopczyków. Samotne: ona i dzieci. Niema jej boleść i niema modlitwa.

Karton VII.: Zamknięcie kościołów. Nie otworzą już więcej domów bożych dla wdów i sierot, dla uciśnionych i uciemiężonych. Siłą wtargnięto przez drzwi wyłamane, a poranionych kapłanów zmuszono do zamknięcia kościołów. Oto stoi dwóch mnichów przed ciężkiemi, blachą obitemi drzwiami. Jeden z nich o bladem obliczu, z przestrzelonym habitem, z obandażowanem czołem, zacięty w swym bolu, obraca ciężki klucz w potężnym zamku. Obok młody braciszek bada i nadsłuchuje, a we wzroku i na twarzy maluje się głęboka zawziętość i fanatyczna nienawiść.

Zatopiona w tem wszystkiem nie zauważyłam wejścia mej matki, która — zanim się spostrzegłam — stanęła nade mną. Karta tytułowa z wieńcem cierniowym i nazwiskiem artysty objaśniła ją odrazu.

— Oddawna chciałam z tobą pomówić o Grottgerze — zaczęła — lecz wstrzymywała mię od tego twa przekorna natura. Ponieważ nie jesteś pełnoletnia, mam prawo opiekować się tobą. To też zamknęłam dom przed Grottgerem, skoro spostrzegłam, dokąd cię twa egzaltacja zaprowadzić może. Nie poto tyle łożyłam na twoje wychowanie, by cię wydać nędznemu losowi zostania żoną malarza.

— Zostać żoną Grottgera byłoby sławą i zaszczytem — odrzuciłam silnie podniecona.

— Być może. Przyszłość to okaże. Narazie mam wątpliwości co do jego materjalnych stosunków, a sądzę, że przykład w sąsiedztwie jest dosyć wymowny.

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Pozostałam rozgoryczona i zawzięta. W podobnym tonie wyrażać się o Grottgerze, tak o nim mówić, stawiać go na równi z tym nędznym fotografem-kolorystą, który dotychczas mienił się nauczycielem — to było oburzające.

Siedziałam bez ruchu z łokciami opartemi o stół, z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Oto list, który do mnie napisał — usłyszałam znowu głos matki — może kiedyś stanie się dla ciebie cenną pamiątką. Jeśli dzień przedtem list fingowany do ciebie wysłać kazałam, sądziłam, że Grottger, obrażony, nie odpisze, a chciałam ci oszczędzić daremnego oczekiwania. Ale, ale, w przyszłym tygodniu wyjeżdżamy na wieś, a z końcem maja jedziemy do Londynu na wystawę.

Podniosłam się, by list odebrać, jednak nie usiadłam zpowrotem, kiedy znów pozostałam sama. Trzymałam kartkę w ręku, lecz jej nie rozwijałam. Wzruszona, błądziłam po pokoju. „Warszawa", list od Grottgera — podróż do Londynu... wszystko naraz... tego było za wiele!

Zwolna powracał spokój. Usiadłam na fotelu przy oknie; ponieważ podówczas nie byłam jeszcze „nerwowa", więc ręce mi nie „drżały", i całkiem wyraźnie czytałam każde słowo pięknego, równego, jakby cyzelowanego pisma:

> Słuszne jest mniemanie Czcigodnej Pani, iż Jej Pismo dotknie mię niemile. Tych kilka słów ubodło mię dotkliwiej, niż to Pani sobie wyobrazić może. Jakkolwiek pełne były delikatności, odebrały mi bezpowrotnie jedną z najpiękniejszych uciech młodości: dobrodziejstwo uczucia, że posiadam przyjaźń tkliwego szlachetnego niewieściego serca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Pewne pomieszanie dat. „Warszawa" wystawioną była w listopadzie i grudniu 1861 a nie na wiosnę.



Metamorfozy fryzur kobiecych




Grecja — r. 350 przed Chr. Rzym — r. 100 po Chr.

Ładne uczesanie głowy podnosi niesłychanie urok postaci. Nic więc dziwnego, że nie tylko dziś w dobie wysokiego kunsztu fryzjerskiego panie zabiegają o piękne uczesanie, ale... działo się tak zawsze. Śmiem twierdzić, że nawet Ewa w raju nie pozwalała swym splotom układać się jak chciały, lecz tak jak było najbardziej do twarzy.. Kobiety zawsze doceniały rolę fryzury, lecz oczywiście w ciągu wieków różny bywał ów probierz piękna. Dziś, aż trudno uwierzyć, aby mogły się podobać metrowej wysokości fryzury z sadami, okrętami — z epoki Marji Antoniny. Lecz zacznijmy od początku (o ile go wogóle dociec można)...

Moda jest zwierciadłem czasu, w którym uzewnętrznia się dusza kobieca, a niepoślednią częścią mody jest fryzura. Dopiero na 3000 lat przed Chrystusem pierwszy raz znaleźć można wieści o fryzurze, gdy Egipcjanki nie zakrywając niczem ciała, cały kunszt estetyczny wysilały w kierunku, jak najpiękniejszej fryzury. Następne pokolenia zaczęły nosić suknie, a we włosy wpinały kwiat lotosu. Egipcjanki miały włosy do ramion opuszczone, z grzywką nad czołem.

Skromnie uczesane były Greczynki. Długie włosy, zaczesane do tyłu spinały w kok, który trzymał się dzięki przewiązaniu wstążkami, opasującemi również głowę. Poza tem Greczynki nosiły luźno opuszczone sploty, spadające na plecy. Pomimo prostoty uczesania używały one żelazka które już dawno przedtem wynaleziono w Egipcie. Mężczyźni tymczasem przesiadywali u fryzjera, który usztywniał wąsy i brodę, ale... głównie dlatego, aby posłyszeć nowinki, gdyż fryzjerzy od najdawniejszych czasów znani byli jako... plotkarze.

Traktat, poświęcony fryzurze, napisał już Owidjusz w swoim ARS AMANDI. Jakkolwiek Owidjusz znał się na fryzurze, nie pisze nic o tem, że Rzymianki gdy od Gallijek zdobyły środek rozjaśniający włosy, nie miały nic lepszego do roboty, jak zamienić krucze włosy na kolor złocisty, lub rudo-czarny. Córy Rzymu przedkładają koafiurę bardziej kunsztowną, całą głowę zdobią tysiącami loków, misternie fryzowanych. Wraz z przepychem życia moda także staje się wyszukaną i wykwintną, aby po upadku Rzymu odzwierciadlać znów pierwotny „modus vivendi". We wczesnych okresach średniowiecza na uczesanie nie zwraca się uwagi, by później w epoce wybujałej religijności i mistycyzmu ukryć i zatajać wszystko, co może budzić grzeszne myśli. Włosy znikają ukryte pod czepcem lub innym nakryciem, z którym kobiety nie rozstają się. Renesans odkrywa głowę, by ukazać ją okoloną włosami, zwykle gładko zaczesanymi, lub ozdobionej pasemkami włosów, spływających z nad ucha. Zaczynają pojawiać się we włosach przeróżne ozdoby z pereł i drogich kamieni.

Wczesny okres odrodzenia pozostawia portrety dam z odsłoniętem, czołem do góry zaczesanemi włosami lub z spływającemi wolno dookoła głowy, przy końcu skręconemi w loki.

Uczesanie jest zawsze uzupełnieniem i odpowiednikiem stroju. Główki infantek Velasqueza rażą ogromną fryzurą niedługich, lecz usztywnionych mocno włosów, tak, że szerokością koafiura dorównywała ramionom, a wielkie krynoliny czyniły majestatyczne i pompatyczne wrażenie. W tym czasie (połowa XVII w.) czoła pań francuskich zdobią filuterne loczki, a długie loki spadają na wydekoltowane ramiona.

I oto zaczyna się okres panowania najmniej gustownej fryzury który trwa bardzo długo, bo przeszło sto lat. Gwałtowną zmianę mody we Francji, a co za tem idzie w całej Europie przypisać podobno należy następującemu zdarzeniu. Któregoś dnia młoda ko-



Paryż — r. 1937.



W kole: Wiedeń — 1908.



Nanette Kaula — r. 1829.



Anglja (Gainsborough) — XVIII w.

chanka Ludwika XIV madame Fontangues podczas polowania związała pończochą do góry wszystkie włosy. To uczesanie zyskało wielki zachwyt „Roi Soleil" i od tego dnia wszystkie damy zaczęły podnosić włosy do góry. Wkrótce połowa postaci kobiecej przypadała na brodę, gdyż fryzura nierzadko dosięgała metra wysokości... Wieże na głowie pań tak rosną, że w powozach trzeba wybijać otwory, aby pani i jej koafiura mogły odbyć szczęśliwie przejażdżkę.

Wczesne rokoko zadawalnia się drobnymi loczkami. Panowanie madame Pompadour — to władztwo wymyślnej fryzury, która stanowi clou umiejętności ubrania się. Nadworny fryzjer Pompadour-Dagé otrzymuje roczną gażę w wysokości 250 tysięcy franków, ale zato musi znosić zmienne kaprysy wielkiej damy. Lecz właściwie na najwyższe szczyty dosłownie wznosi się fryzura za panowania Marji Antoniny. Za mistrzowskie wykonanie artystycznej fryzury płaci się bajońskie sumy, przy których wynagrodzenie Dagégo jest kieszonkowym groszem. Stopniowo wstążki i loki nie wystarczają, na głowach pań zaczynają się pojawiać: ogrody warzywne, stada owiec, wieże, groty, improwizowane źródła, kołyski z dziećmi, okręty i inne tym podobne „drobiazgi". Nic dziwnego, że najważniejszym rekwizytem wytwornej pani, nieodłącznym jej towarzyszem staje się „grattoir", specjalnie wymyślony instrument do... drapania, gdyż na tak dużym terytorjum pewne insekty miały rozległy teren działania.

W międzyczasie wybucha rewolucja, która zdmuchuje te piramidy z lekkomyślnych główek. Z początku skłania się koafiura w stronę Grecji, a potem z Rzymu sprowadza się koafiurę Tytusa. Bidermajerowskie loczki są miłe i bezpretensjonalne, a przyczyniają się niemało do zaakcentowania wdzięku i urody. Później fryzura staje się skromniejszą: rozdziałek przebiega przez środek głowy, uczesanie zdobią zaledwie tylko lekkie fale, włosy są zaczesane do tyłu. A potem... w początkach XX wieku, aż do wybuchu wojny fryzura spełnia rolę oszpecania kobiety, a nie swą naturalną funkcję podnoszenia jej. Ponieważ nie wystarczają już własne włosy, pomaga się postiszami, aby koafiura była jak największą, jak najbardziej reprezentacyjną.

A wreszcie panuje bezapelacyjnie zdanie Ben Akiby: wszystko piękne już było. I „bubikopf" i „garsonka" i wymyślne loczki, którym hołduje piękna pani anno domini 1937.

Krystyna Dienstl-Kaczyńska.

Poniżej: Katarzyna Botzaris — r. 1841.



PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie IX.

Opisane w poprzednim numerze ćwiczenie gimnastyczne, z pomocą którego dążymy do wzmocnienia poczucia równowagi naszego ciała podczas wykonywania pewnych ruchów, uzupełnimy dziś dalszem ćwiczeniem. Polega ono na kolejnym wyrzucie rąk to w lewo, to w prawo, przyczem w pierwszym wypadku ciężar ciała spoczywa na lewej nodze, prawa zaś dotyka luźnie posadzki zgięta trochę w kolanie (pozycja pierwsza) i naodwrót. Biodro, przegięte w kierunku wyrzutu rąk, wysuwa się w bok. Ćwicząc, musimy pamiętać o tem, aby praca naszych mięśni odbywała się równocześnie i szybko.



Pozycja pierwsza.

Teraz zkolei przechodzimy do drugiej pozycji, może najtrudniejszej, która powstaje przez podniesienie to jednej, to drugiej nogi, wskutek czego w okresach kilkuminutowych (z początku tylko parusekundowych) ciało nasze utrzymać się musi na jednej nodze. W tych „przykrych" momentach chcielibyśmy znaleźć koło siebie jakieś oparcie — stół, krzesło, lub choćby szafę. Ale właśnie o to chodzi, aby obejść się bez takiego oparcia i odnaleźć je w samym sobie przez odpowiednie przesunięcie punktu ciężkości ciała. Początkowo, naśladując ptaki, które znajdując się w powietrzu wyrównują pozycję lotu przez pewne ruchy rozpostowanych skrzydeł, rozkładamy ręce i poruszając niemi, staramy się zapobiec upadkowi, względnie opuszczeniu podniesionej nogi. Potem, gdy dojdziemy już do pewnej perfekcji, wyeliminujemy z ćwiczenia udział rąk i będziemy się starali utrzymać na jednej nodze bez ich pomocy.



Pozycja druga.

ZACZERWIENIONE POWIEKI

to więcej, niż siwe włosy

Młodzieńczy blask i żywość oczu to jeden z najcenniejszych skarbów urody. Nie wolno o tem zapominać nikomu. A strzec skarbu tego jest naszym obowiązkiem. Jeżeli o nim zapominamy i dopuścimy do katastrofalnych zmian, odzyskanie tych wartości przy pomocy środków sztucznych jest już bardzo trudne, a wielokrotnie wprost niemożliwe.

Wiele kobiet wygląda starzej nad swe lata przez zaniedbanie pielęgnacji oczu. Oczy matowe, zapadłe — a powieki zaczerwienione, obrzękłe, z torbami pod oczyma i żółtemi obwódkami, oto co postarza wygląd nawet i najmłodszej twarzy. Tymczasem żywe oko, bystre spojrzenie, dobrze utrzymane powieki, odmładzają nawet twarze pomarszczone, pokryte siwym już włosem.

Trzeba więc koniecznie dbać o swe oczy. I to nie odkładając sprawy do jakichś późniejszych terminów i rozpocząć pielęgnację odrazu. Wymagania hygjeny oka nie są tak skomplikowane aby ich nie można było zastosować bez szkody dla codziennych zajęć.

A więc nie przesiadywać po nocach, czytając w złem oświetleniu. Gorzej jeszcze odbija się w skutkach na wyglądzie oczu przebywanie dłuższy czas w zadymionem powietrzu restauracyj i kawiarń. Niestety, daleko u nas jeszcze do takich urządzeń wentylacyjnych, jakiemi chlubi się zagranica, gdzie nawet w kinach, mimo iż pali się papierosy, powietrze ciągle przepływa i skutkiem tego pozbawione jest wszelkich zanieczyszczeń szkodliwych nietylko dla oczu, ale i dla całego organizmu.



Przemywanie oczu herbatą.

Panie, uprawiające sport automobilowy, niechaj nie zapominają nigdy okularów do podróży w otwartym wozie. Jednorazowe nawet zapomnienie powoduje trudne na długo do odrobienia straty w zdrowym wyglądzie oka.

Żółte obwódki i torby pod oczyma, u młodych zwłaszcza osób, nie dadzą się usunąć bez pomocy lekarza, gdyż muszą mieć przyczyny powstania w wewnętrznych niedomaganiach. Nie wolno w takich wypadkach odwlekać sprawy i koniecznie trzeba szukać porady lekarskiej. Kuracja w takich wypadkach, poza środkami zapobiegawczemi, polega na zachowywaniu większych wypoczynków, robieniu okładów z letniej wody różanej, w której rozpuszcza się ałun, wedle propozycji, podanej przez lekarza.

Aby jak najbardziej zniwelować widok obwódek i torb pod oczyma, trzeba przy makilażu stosować róż tłusty, którym podchodzi się wysoko od policzków ku oczom, nie używając już żadnego kosmetyku dla dolnej powieki.

Ale wróćmy jeszcze do środków zapobiegawczych przedwczesnemu postarzaniu oczu. Pozwalajmy oczom codziennie wypocząć przynajmniej dziesięć minut w ciągu dnia, przy zamknięciu powiek. Nasze babki wiedziały o tem dobrze i zawiązywały sobie w ciągu dnia oczy czarną wstążką właśnie dla wypoczynku.

Doskonałym środkiem ożywczym dla oczu i powiek jest przemywanie ich rano i wieczorem przestudzoną herbatą. Kto używa stale kosmetyków, niech raz na kilka dni da odpocząć oczom i nie używa niczego do powiek.

Również i pewnego rodzaju gimnastyka potrzebna jest dla utrzymania jak najdłużej pełnego blasku i żywości oczu. Polega ona na poświęceniu chwilki dziennie na poruszanie oczyma w prawo i w lewo, w górę to w dół. Przy podnoszeniu oczu w górę trzeba uważać, aby nie marszczyło się czoło, co z początku może się nawet wydawać trochę trudne, ale po kilku próbach zawsze się udaje. Trochę trudniej jest podnosić nieco brwi bez fałdowania czoła a i to ćwiczenie dobrze działa. Ostatniem wreszcie ćwiczeniem będzie delikatny masaż skroni obydwoma rękami równocześnie, naciskający skórę w kierunku ku włosom.

Na tego rodzaju zabiegi, mające na celu sprawę tak ważną, jak zachowanie młodzieńczego wzroku, żywości spojrzenia i należytej oprawy oczu, trzeba koniecznie przeznaczyć trochę uwagi i codziennych zabiegów. Powiedzą panie, że nasze rady są niczem nowem. — Zgadzamy się z tem, ale to są środki, które są stale zaniedbywane, więc trzeba je było koniecznie przypomnieć.

Elwira.



Masaż skroni.

Z STRZELBĄ
i wędką



Zapóźno na strzał... zwierzyna uszła już w gąszcz lasu.



Oryginalny strój myśliwski, wiernie skopjowany ze wzorów męskich, do którego tylko filcowy kapelusik wprowadza akcent kobiecego dressu.

Wszystkie zdjęcia fot.: Imre v. Santho.



Na prawo: Miło jest odpocząć po trudach polowania, gdy torba myśliwska pełna jest ptactwa. Praktyczny, pod szyję zapięty żakiet chroni przed chłodem wczesnego poranku.

Niema dziś prawie gałęzi sportu, w którejby kobiety nie brały czynnego udziału, dochodząc niejednokrotnie do pierwszorzędnych wyników. Myślistwo należy do sportów, zdawiedawna przez kobiety uprawianych i cieszy się ich specjalnemi łaskami. Oprócz popisów zręczności w celnem strzelaniu, stanowią łowy obszerne pole do wykazania fizycznej sprawności i wytrzymałości, dając przytem możność bliskiego współżycia z dziką przyrodą, podpatrywania jej tajemnic i jej największych uroków. Toteż historja najdawniejszych czasów mówi nam o kobietach-łowczyniach, a grecka mitologja zaliczała do najbardziej czczonych bogiń młodzieńczą, smukłonogą Djanę, zachowując nam w rzeźbie piękno jej gibkiej postaci, goniącej jelenia z łukiem i kołczanem.

Nowoczesna Djana, ponad efektowne jesienne łowy z nagonką czy „par force", będące właściwie raczej zabawą towarzyską, przekładać będzie zawsze samotne lub w małem gronie wyprawy do lasu, długie zasiadki na rogacze, emocjonujące polowanie na dzikie ptactwo o zmroku nad wodą i te niekończące się wędrówki po lasach i polach, w czasie których obcuje się bezpośrednio z przyrodą i przebywa w zasięgu jej niezmąconego piękna i spokoju. Nie chodzi tu bowiem tylko o okazję do strzału, o łup obfity, świadczący niezawsze tylko o zręczności, lecz często poprostu o szczęściu myśliwego, ale przedewszystkiem o sposobność do poznania zwierzęcia w przyrodzie, jego zwyczajów, sposobu życia, jego kryjówek itd. Prawdziwy bowiem myśliwy jest zawsze i przedewszystkiem miłośnikiem przyrody i świata zwierzęcego.

* * *

Pst... Cicho... Kobiety zazwyczaj nie lubią milczeć, ale rasowa „nemrodka" potrafi milczeć i całą godzinę (bez żartów!) gdy chodzi o to, aby nie spłoszyć zwierzyny. A zresztą piękno lasu o tajemniczej godzinie świtania jest tak przejmujące, że na słowa niema ani miejsca, ani ochoty. Nim pierwsze promienie wślizgną się bezszelestnie na szorstkie pnie drzew i poprzez gałęzie i liście rozsnują swoją świetlistą pajęczynę, głosy lasu zaczynają się budzić z nocnego milczenia. Pierwsze odzywają się ptaki. Zrazu nieśmiały i jakby senny, świerkot ich wzmaga się i potężnieje, aby gdy wschodzące słońce przeszyje złotemi strzałami gęste poszycie leśne, rozbrzmieć wibrującą, radosną fanfarą.

Robi się coraz jaśniej. Krople rosy zaczynają błyszczeć i mienić się tęczami na liściach i gałęziach — wilgotne mchy, jeszcze przed chwilą podobne do puszystego czarnego pluszu, nasiąkają zwolna głęboką zielenią. Pnie drzew z brunatnych robią się złote — powietrze nasyca się przesianym przez gąszcz gałęzi słońcem.

U stóp potężnej sosny, niedaleko źródła, u którego pić przychodzą leśni mieszkańcy, czekamy na zwierzynę. Chłód poranka nas nie przeraża, gdy gruba, choć przewiewna, wełna naszego myśliwskiego kostjumu chro-



Powyżej: Spodnie-spódnica i bluza ze skórzanym paskiem uzupełnione zamszowym beretem — to strój używany przez Angielki do wypraw rybackich na łodzi.



Na prawo: Sportowa suknia wełniana (spódnica-spodnie) coraz częściej noszona jest podczas lądowych wypraw rybackich...

ni nas od zimna. Mimo, że jest już prawie zupełnie jasno, najbystrzejsze oko nie dostrzegłoby nas w tej kryjówce, gdyż stroje nasze dzięki „ochronnym" barwom, zlewają się prawie całkowicie z otoczeniem. Myśliwski „dress" wzoruje się na przemądrej przyrodzie, która dla ochrony zwierząt ustanowiła przezorne prawo mimikry. Szaro-zielony filcowy kapelusz zlewa się niemal z barwą mchów, a rdzawo-bronzowy odcień tweedu, z którego uszyty jest nasz kostjum, nie odróżnia się prawie wcale od pni drzew. Wygodne, choć grube półbuciki na elastycznej podeszwie pozwalają stąpać cicho a pewnie, a sportowe, ręcznej roboty pończochy lub sukienne kamasze chronią nogi od podrapania wśród gąszczu krzewów. Za chwilę, gdy słońce wtargnie aż w głąb cienistą lasu, zrobi się ciepło. Wtedy zdejmiemy zamszową kamizelkę i lekki wełniany szalik, związany na szyi, rolując je i umieszczając w pakownej torbie, której główny przedział przeznaczony jest na mniejszą zwierzynę. Polując w trudniejszym bardziej górzystym terenie, zamiast spódnicy nosimy rodzaj „jupe-culotte" lub nawet zwyczajne męskie pumpy, pozwalające na absolutną swobodę ruchów. Praktyczne są również buty myśliwskie z cholewkami wysokiemi jak do konnej jazdy, niezbyt obcisłe, zrobione z miękiego boksu w kolorze brązowym. Często używanym na kurtki myśliwskie materjałem jest zamsz lub nieprzepuszczająca wiatru duwetyna, lecz przewiewne tweedy są naogół znacznie przyjemniejsze w noszeniu, tembardziej, że można się zawsze ochronić od wiatru noszoną pod żakietem kamizelką ze skóry czy gęsto tkanej materji. Kamizelka taka, prócz ciepła, pozwala dodać myśliwskiemu dressowi pewnej barwności, gdyż jako noszona pod spodem, nie musi być koniecznie zbyt neutralna w kolorze. Do szarego kostjumu bardzo ładnie wygląda kamizelka ze skóry złotawo-brązowej, do brązowego — zielona lub musztardowo-żółta. Kolorów jaskrawo czerwonych należy unikać, zastąpić je można rdzawemi i ceglastemi odcieniami, noszonemi najchętniej w dressach przeznaczonych do jesiennych polowań, gdy liście przybierają czerwonawo-złote barwy.

Elegancka sportsmenka z pod znaku Djany łowczyni, w wyborze swego myśliwskiego stroju kieruje się przedewszystkiem nakazami wygody i celowości — odsuwając kokieterję i nakazy ostatniej mody na dalszy plan. Nic komiczniejszego i bardziej „niesportowego", jak widok przesadnie eleganckiej i przesadnie kolorowo ubranej kobiety, dla której polowanie jest tylko pretekstem do zaprezentowania efektownego i najmodniejszego myśliwskiego dressu, w którego blasku stara się ukryć braki wytrzymałości fizycznej i nieumiejętność celnego strzelania.

* * *

Jednym z najmilszych, szczególnie w Anglji, z zapałem uprawianych sportów letniego sezonu — jest rybołóstwo. Cóż może być milszym wypoczynkiem jak przesiadywanie godzinami nad rzeką z wędką w dłoni? Z napiętą uwagą śledzimy unoszący się na wodzie pływak, czekając na charakterystyczne jego drgnięcie, sygnalizujące, że ryba chwyciła przynętę. Zajęcie to wymaga dużej cierpliwości, toteż „rybaczki" o żywszym temperamencie wolą łowić ryby na sieć zw. czerpakiem, choć rasowy rybołówca gardzi tą metodą. Klasyczne wędkarstwo stanowi bowiem elitę rybołóstwa i szczyci się ogromną fachową literaturą. Piękny ten sport — podobnie jak myśliwstwo — pozwala na bliski i bezpośredni kontakt z naturą i posiada bezsprzecznie dużo uroku.

Piękna pani, uprawiająca wędkarstwo nie zapomni o tem, że celowy i praktyczny strój jest tak samo ważny, jak pierwszorzędny sprzęt rybacki. Suknie jej, o prostym kroju, pozwalającym na swobodę ruchów tak niezbędną np. przy długich wędrówkach wzdłuż brzegu rzeki za złowionym łososiem, uszyte są z niemnącego się materjału, w kolorze praktycznym i niezbyt jasnym. Najładniej wyglądają odcienie zielone, stalowe i niebieskie, harmonizujące z kolorem wody i otaczającego krajobrazu. Wykluczone będą suknie przeładowane ozdobami, krępujące ruchy lub zbyt wyszukane w kroju i prawdziwie elegancka sportsmenka potrafi uniknąć w nich wszystkiego, coby kolidowało z ich właściwem zadaniem.

Reasumując nasze uwagi o kostjumach, nadających się do polowania i rybołóstwa, pamiętajmy abyśmy się dostroili do otoczenia, co będzie naszem mimikry, działającem zarówno praktycznie, jak estetycznie.

Lady Like.



Na morzu trzeba zabezpieczyć się przed wiatrem i deszczem, wdziewając impregnowane bluzy płócienne.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

CHŁODNIK RUSKI (OCHROSZKA). Pół litra surowego kwasu chlebowego (w braku tegoż może być barszcz żytni, ten ostatni musi być zagotowany i ostudzony) rozprowadzić zimnym rosołem, dokładnie obranym z tłuszczu, dodać soli i troszke cukru oraz pół litra śmietany i dobrze rozmieszać. Wkońcu dodaje się łyżkę siekanego kopru, parę posiekanych, twardych jaj, kwaśnego ogórka lub głąbików drobno skrajanych, trochę raczych szyjek lub pieczeni cielęcej, pokrajanej w drobną kostkę. Postawić na parę godzin do lodowni.

ZUPA ZDROWOTNA. 3 dkg drożdży rozciera się z 3 dkg masła, dodaje ½ litra wody i różne jarzyny, drobno pokrajane. W jarzynie musi być dużo pietruszki i seleru oraz dwa ząbki czosnku i parę ziarnek pieprzu. Wszystko gotuje się przez godzinę, poczem soli się zupę, wsypuje łyżkę grysiku i łyżkę siekanych ziół kuchennych, gotuje dalsze 10 minut i wlewa na roztarte żółtko wraz z nieprzetartemi jarzynkami.

JAJA FASZEROWANE. Uciera się majonez z surowego żółtka i 4 łyżek oliwy, oraz soku z połówki cytryny. Do majonezu dodaje się siekany koper, szczypiorek, zieloną pietruszkę, troszkę szczawiu, estragonu i listków selera. Kilka jaj ugotowanych na twardo, ołupuje się i przekrawa wzdłuż. Żółtka rozciera się z łyżką masła deserowego, dodaje połowę utartego z ziołami majonezu i napełnia tą masą połówki białek. Resztę majonezu rozrabia się z paru łyżkami bitej kremówki lub śmietany, wykłada na salaterkę i umieszcza na tem jaja.

KURCZĘTA NADZIEWANE KASZKĄ. Filiżankę kaszki krakowskiej (częstochowskiej) zaciera się całem jajem i suszy w piecyku na różowo. Dwie filiżanki wody zagotowuje się z troszką soli i łyżką masła, wsypuje wysuszoną kaszkę i gotuje na sypko, wstawiwszy garnuszek do większego naczynia z gorącą wodą lub do skrzynki samowarka, w której się kasze najlepiej dogotowują. Ugotowaną kaszkę studzi się, dodaje do niej posiekane wątróbki i odgotowane żołądki kurcząt, miesza z łyżką masła, utartą z całem jajem, napełnia kurczaki, zaszywa je i piecze na maśle w piecyku, przy pilnem polewaniu, aby się nie wysuszyły. Podaje się przekrojone na połówki, garnirowane jarzynkami.

SZNYCELKI JARSKIE. 30 dkg główek szparagowych lub fasolki szparagowej, odparza się wrzątkiem, następnie gotuje się w słonej wodzie do miękkości. Osobno gotuje się na gęsto filiżankę grysiku lub łamanego ryżu (ten ostatni musi być przed gotowaniem w kilku wodach płukany). Grysik, wzgl. ryż, ugotowany ostudza się, soli, miesza z nim 6 dkg masła, łyżeczkę siekanej, zielonej pietruszki i 2 jaja oraz drobno pokrajane szparagi, czy też szparagówkę i formuje z tej masy małe krokietki, które się panieruje i wysmaża w wrzącym tłuszczu. Sznycelki podaje się na gorąco z sosem śmietankowym.

WIEDEŃSKIE CIASTO Z WIŚNIAMI. 7 dkg masła uciera się na pianę, poczem dodaje się po trosze 10 dkg mączki cukrowej, 4 łyżki mleka i 3 żółtka po jednemu. Dla zapachu dodaje się startą skórkę z połówki cytryny. Wkońcu wsypuje się 20 dkg sypkiej mąki, zmieszanej z połową proszku do pieczywa naprzemian z pianą z 3-ch białek, dodawaną po łyżce. Masę wykłada się na natartą masłem i wysypaną mąką formę, posypuje wydrelowanemi wiśniami, cukruje grubym cukrem i piecze w dobrze stopniowanym piecyku, aby ciasto miało czas się podnieść. Upieczone kraje się w kwadraty i posypuje mączką cukrową z wanilją.

SOK MALINOWY BEZ FERMENTOWANIA zachowuje swój cały aromat i piękną barwę rubinową, trzyma się doskonale i nie wymaga tylu zachodów, co sok fermentowany. Sposób przyrządzania jest następujący: Przebrane z liści maliny umieszcza się w garnku kamiennym i zalewa gotującą się wodą tak, aby były nią nakryte. Garnek pozostawia się w spokojnem miejscu przez 12—20 godzin, poczem wyciska się sok do grubego rondla, dodaje cukier, a po zupełnem rozpuszczeniu się tegoż w soku, gotuje się 15 minut, szumując. Przestudzony sok zlewa się do wyjałowionych butelek, korkuje, zalewa pechem i przechowuje sucho i chłodno. Proporcja cukru wynosi: na 1 litr soku 1 kg cukru.

KISZENIE GŁĄBIKÓW (na życzenie czytelnika). Głąbiki dokładnie ołupane i obrane z drzewiastych części, kraje się wzdłuż w kilka kawałków i układa w słoju lub garnku, przekładając wyrośniętym, grubym koprem i ząbkami czosnku. Wkońcu zalewa się niegotowaną, przestałą wodą osoloną tak, aby głąbiki były przykryte, owiązuje lub przykrywa lekko, ażeby powietrze miało dostęp i stawia naczynie w cieple. Głąbiki kiszą się krócej od ogórków, gdyż zwykle po dwóch dniach są już gotowe do użytku.

Sc. Ko.



Przystawki rybne podaje się w specjalnych naczyniach i na osobnych talerzykach. Oto odpowiedni serwis w postaci czerwonych krabów, oryginalny i apetyczny.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Bez specjalnego naczynia trudno jest gotować na parze i przyrządzać podstawowe składniki sosów, majonezów, budyni i t. p. Ale oto zreprodukowany obok rondel ułatwia nam to zadanie, stając się bardzo praktycznym rekwizytem kuchennym.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 29 — **Lipiec** — 31 dni

NIEDZIELA **11** Olgi, Pelagji	Chłodnik owocowy z grzaneczkami. Jaja faszerowane. Młoda gęś z kapustą parzoną. Wiedeńskie ciasto z wiśniami. <u>Kolacja</u>: Zimna gąska z głąbikami.
PONIEDZ. **12** Jana Gwalb.	Ruski barszcz /ochroszka/. Sznycelki jarskie. Rozbef z jarzynkami. Kruchy placek z pianką poziomkową lub malinową. <u>Kolacja</u>: Grzybki duszone ze śmietaną.
WTOREK **13** Małgorzaty p.	Rosół z francuskiemi kluskami. Sztuka mięsa z sosem ogórkowym lub głąbikowym. Kurczęta nadziewane kaszką. Krem malinowy. <u>Kolacja</u>: Fasola szparagowa i kalafior.
ŚRODA **14** Bonawentury	Zupa ragoût z drobiu. Pomidory faszerowane. Pieczeń cielęca lub barania gigot z jarzynami. Poziomki z śmietaną. <u>Kolacja</u>: Omlety z grzybkami.
CZWARTEK **15** Henryka	Zupa z świeżych grzybków. Marchewka z groszkiem z grzankami. Wątróbka cielęca á la Nelson. Kompot mieszany. <u>Kolacja</u>: Pierożki z słodką kapustą.
PIĄTEK **16** NPM. Szkapl.	Zupa rakowa z ryżem. Szpinak w omletach. Pstrągi na niebiesko z masłem i ziemniaczkami. Strudel z wiśniami. <u>Kolacja</u>: Pierożki z borówkami i śmietaną.
SOBOTA **17** Aleksego	Zupa owocowa zimna. Omlet z pieczarkami. Młoda kaczka z sałatą. Knedelki z wiśniami. <u>Kolacja</u>: Kasza hreczana z kefirem.

HOCKI-KLOCKI

PODPATRZONE W GARKUCHNI...



Klijent, który „dobrnął" do drzwi: Idę zawiadomić kucharza, że sos był nieco za gęsty!
(Ric et Rac).



— Niechże się pan pośpieszy z pokrajaniem tego befsztyka! I tak zapłaci pan odszkodowanie za połamane noże i wyszczerbione piły! *(Ric et Rac).*



Kucharz: — Czy nie widział pan przypadkiem mojego pomocnika? *(Ric et Rac).*

Rozwiązanie z N-ru 27-go.

ZIELONE KRZYŻYKI.

Rozumowanie najbystrzejszego z panów jest następujące: „Albo mój krzyżyk jest zielony, albo biały: jeśli jest biały, każdy z pozostałych kandydatów może zobaczyć jeden biały i jeden zielony krzyżyk. Ale również każdy z nich może widzieć, że drugi trzyma rękę podniesioną do góry. A ponieważ są inteligentni, pomyślą sobie: „Dlaczego drugi towarzysz podniósł rękę do góry? Dlatego, że może widzieć zielony krzyżyk, a ten krzyżyk musi być moim". A ponieważ obydwaj są inteligentni, to rozumowanie nie zajęłoby im wiele czasu, więc obaj podnieśliby już obie ręce.

Jednak tego nie czynią. Więc mój krzyżyk nie może by biały — musi być zielony".

PRACA.

Alfred wykona tę pracę w 60 dni, zaś Bolek w 40.

SIEDMIORO DZIECI.

Istnieje 5.040 sposobów rozmieszczenia dzieci, przyczem w 720 wypadkach na każdym końcu siedzi dziewczynka. Dlatego prawdpodobieństwo jest 720 na 5.040 możliwych wypadków, lub inaczej 1:7.

Dokończenie ze str. 5-ej.

Przyłączony do Polski po wojnach Krzyżackich nie tylko że zatrzymał dawne przywileje, ale znacznie mu je rozszerzył Kazimierz Jagiellończyk. Również i Stefan Batory chcąc ukarać Gdańszczan, przeniósł do Elbląga prawo składowe na towary, co też było powodem zemsty ze strony Gdańszczan, którzy z pomocą Duńczyków napadli na miasto 1577 roku. W wierności Rzeczypospolitej wytrwało miasto do końca jej upadku, a dzieląc jej los w pierwszym rozbiorze, tj. 1772 roku, dostało się Prusom i przy nich też pozostało.

Mimo tych zatargów z Polską, które właściwie należałoby złożyć na karb chciwości kupieckiej, nie brak było też i dowodów poświęcenia ze strony Gdańska. Liczne wojny szwedzkie dały mu pole do popisu i spłacenia długu wdzięczności zaciągniętego w Polsce. Broniąc sprawy narodowej do samego niemal upadku Rzeczypospolitej przy niej pozostał. W pierwszym rozbiorze Polski, kiedy Prusy Królewskie dostały się Prusom, wyłączono z nich Toruń i Gdańsk, który otrzymał miano Wolnego Miasta pod opieką Polski. Dopiero traktat drugiego rozbioru czynił Gdańsk miastem pruskiem.

Każde z tych miast posiadało własną flotę handlową. Oczywiście, że w miastach nadmorskich była ona liczniejsza. Statki ich używały tej zazwyczaj bandery, pod którą i miasto prowadziło handel. Tak więc bandery spełniały podwójną niejako rolę: Z jednej strony były znakami rozpoznawczemi dla kupców, którzy z temi miastami utrzymywali rozległe stosunki handlowe, z drugiej strony spełniały z powodzeniem rolę znaków ochronnych dla eksportowanych towarów.

Kraków, miasto handlowe miało dwie bandery: pierwsza był to zazwyczaj herb miasta w polu czerwonem. Druga z czasem zarzucona, była niebieską, ozdobiona orłem białym.

Bandera miasta Gdańska była także koloru czerwonego, z dwoma białymi krzyżami i koroną polską nad nimi. Często jednak w miejsce krzyżów używano koron Królestw: Polskiego, Węgierskiego i Szwedzkiego, z któremi to państwami miasto Gdańsk prowadziło ożywiony handel.

Elbląg pielęgnował kolory narodowe: biały i czerwony z dwoma krzyżami umieszczonymi w ten sposób, że krzyż biały znajdował się w polu czerwonem natomiast drugi krzyż czerwony w polu białem. Do tej bandery miasta Elbląga, zbliżoną była bandera szczecińska z tem, że inne było następstwo kolorów, biały u dołu, czerwony w górze, krzyże natomiast zastąpiono kwadratami.

Królewiec, przejmując od kupców krakowskich miejskie kolory, wprowadził banderę białą z trzema niebieskiemi pasami. W pośrodku bandery na białej tarczy umieszczono orła w kolorze czerwonym.

Inne miasta handlowe, o ile nie posiadały własnej bandery, używały bądź to bandery narodowej, bądź też królewskiej. Pierwsza z nich, to orzeł biały w polu czerwonem, druga także czerwona, ale orła zastępowano białą pogonią, albo tylko jej częścią, tj. ręką trzymającą miecz.

Oprócz wyżej wymienionych bander, powszechną w użyciu była jeszcze jedna bandera ogólna, pod którą pływały statki handlujące zbożem. Utrzymana była w kolorze białym. Po jej przekątniach przeciągnięto niebieskie pasy. W prawym górnym rogu był kwadrat z krzyżem, także niebieskim, a na nim rozpięty orzeł polski.

Mgr. Bronisław Cetera.

Dokończenie ze str. 10-ej.

bolda po raz pierwszy. Między drugim i pierwszym spotkaniem minęło cztery i pół roku bez dwóch dni. Widzisz, że zachowałem w pamięci dokładne daty. Co więcej, muszę stwierdzić, że między trzecim i czwartym naszym spotkaniem minęło także cztery i pół roku bez dwóch dni. Porównując te fakty, czuję się uprawnionym do oznaczenia dnia mojej śmierci na 16 lipca 1936 r., gdyż w tym właśnie czasie minie sześć lat i trzy miesiące od ostatniego mego widzenia się z cudacznym karzełkiem. Jestem, jak widzisz, wierny mej teorji „życiowej krzywej"...

Nachylił się i zaczął znów kreślić laską hieroglify na piasku chodnika. Widocznie dalsze zwierzenia uważał za zbyteczne. A może wstydził się swej szczerości?

Przyznaję, że pewność i spokój mego opiekuna wywarły na mnie wrażenie. Zresztą, nie mogłem spierać się z nim o hipotezy. Ani o rodzinne tradycje. Nie chcąc urazić staruszka, zachowałem dyskretne milczenie. Rozmowa zeszła potem na inne tematy. Ale o opowiedzianej mi historji nie zapomniałem. Spotykaliśmy się później niejednokrotnie, ale żaden z nas nie wspominał nigdy ani o śmierci, ani o koboldzie. Przed dwoma laty straciłem go z oczu. Mówiono, że nie zagląda już do miasta i że cały czas spędza w swoim wiejskim dworku. Nie słyszałem jednak, aby był chory. To też wiadomość o jego zgonie zaskoczyła mnie. W istocie, umarł, jak przepowiedział, dnia 16 lipca ubiegłego roku. Domownicy i znajomi, którym mówił często, że umrze w tym właśnie czasie, przebąkiwali coś o samobójstwie. Uważam przypuszczenie to za bezsensowne... Tak bezsensowne, że skłonny jestem przyjąć raczej hipotezę mego opiekuna i wierzyć, jak on, w powtarzanie się w wieku podeszłym wszelkich wrażeń i stanów przeżytych w młodości. Może miał słuszność. Może w myśl jego twierdzenia, każdemu etapowi naszego bytowania odpowiada każdy punkt na jej ramieniu zstępującym? Bądź co bądź, życie i śmierć stanowią dla człowieka dotąd nierozwiązalne zagadki.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

Wśród ostatnich nowości wydawniczych należy wymienić debiut powieściowy p. Alfreda Ludwaka pt.: **Gdy masz latarnię lila.** Rzecz jest nierówna, lecz posiada rozdziały naprawdę pomysłowe. Nerwowy, obfitujący w wyszukane porównania styl utworu trzeba zaliczyć do dodatnich pozycyj tego debiutu. Coprawda nie brak w książce p. Ludwaka pretensjonalności i pozy, nie zawsze usprawiedliwionej bystrością obserwacji. Sporo w niej efekciarstwa i polowania na oryginalność. Bohater powieści, Andrzej Biłgoraj żyje w ciągłej tymczasowości, w jakiemś nieustannem prowizorjum. Życie jego obraca się w zaczarowanym kręgu owej „latarni lila", przyczem barwa ta symbolizuje właśnie niezrealizowane projekty, nieurzeczywistnione sny. To „liliowe" niezdecydowanie zaznacza się przedewszystkiem w stosunkach z kobietami. Biłgoraj ślizga się tu i ani rusz nie może „zakotwiczyć" uczuciowo. Kiedy już, zdawałoby się, dobija szczęśliwie do portu, jakiś mus wewnętrzny odpycha go od spokojnej przystani i każe uciekać dalej...

Nagrodzona pred dwoma laty przez Akademję Goncourtow powieść francuskiego pisarza, J. Peyré pt.: **Światła i cienie**, ukazała się obecnie w przekładzie polskim. Dzisiaj, gdy wszystko co dotyczy Hiszpanji czytamy ze szczególnem zainteresowaniem — utwór Peyre'go jest żywym przyczynkiem do poznania psychiki i obyczajowości Hiszpanów. Akcja „Świateł i cieni" rozgrywa się przeważnie w Madrycie. Na plan pierwszy wysunął autor postać słynnego ongiś „torrera", który wycofał się z areny. Powróci on jeszcze na arenę i spróbuje po dawnemu podbić serca bijące gorącym rytmem. Kulminacyjnym punktem powieści, jak łatwo się domyśleć, jest występ Ricarda. Czytało się już niemało opisów tych igrzysk: chwalono to jedyne w swoim rodzaju widowisko, potępiano, traktowano epicko, lirycznie... Pisarz francuski nie stara się być sędzią, ani apologetą, ogranicza się do roli interesującego narratora.

* * *

Nowy zbiór wierszy młodego warszawskiego poety Eugenjusza Żytomirskiego pt.: **Pierwsze przykazanie** zawiera utwory gładkie i łatwe; autor nie usiluje czynić wypraw odkrywczych w zakresie techniki poetyckiej, poprzestaje na wypróbowanych sposobach wersyfikacji i obrazowania. Słychać też w jego utworach wyraźne echa prężnego słowa Tuwima, a jednak p. Żytomirski nie należy do tych wierszopisów, którzy piszą, sami nie bardzo wiedząc poco i komu na chwałę. „Pierwsze przykazanie" przynosi utwory różnego ciężaru gatunkowego. Pominmy więc rzeczy słabsze i podkreślmy lepsze osiągnięcia.

Zrodzony najwidoczniej w promieniach rytmik i metaforyki autora „Siódmej jesieni" wiersz pt.: Najpiękniejszy uśmiech posiada zwrotki bardzo melodyjne i miłe w swej prostocie. Jednym z lepiej wytrzymanych utworów jest także Fryne, w którym poeta odsłania zdolności konstruowania epickich obrazków, nie pozbawionych wątka fabularnego. W „Pieśni telegraficznych słupów" odzywa się liryk, umiejący konkretyzować swoje przeżycia w przystępnych i prostych obrazach. Dodajmy, że tego rodzaju impresjonizm uprawiał też J. A. Gałuszka, zamykając wzruszenie w ramce odpowiednio dobranego i oświetlonego pejzażu.

J.J.

NA SCENIE.

Jeszcze tylko bronią się najwytrwalsze sceny przed atakami lata, sezonu ogórkowego w dostojnej sztuce teatralnej. Inne zwinęły chorągiewki, wycofując się z pola walki. Teatry zamykają swoje „podwoja" — cisza, wilgotny spokój osiada za kulisami.

Do broniących się twierdz sztuki teatralnej zaliczyć trzeba kilka scen warszawskich. Ba, temi dniami wystąpi Ateneum z premjerą scenicznej przeróbki głośnej powieści Choromańskiego pt. „Zazdrość i medycyna". Jednocześnie czołowe siły tego teatru przebywają na występach we Lwowie, gdzie wraz z Jaraczem demonstrują „Ludzi na krze" — Wernera i komedyjkę Birabeau: „Woźny i minister". Jaracz pozostawił swój teatr na pastwę Szillera, który reżyseruje „Zazdrość i medycynę". Jak będzie wyglądała przeróbka tej ciekawej i niezwykłej powieści? Siła wyrazu utworu Choromańskiego tkwi w nastroju, jaki autor zdołał wywołać rytmem opowiadania i obrazowaniem. Jakże sugestywnie przeplata się przez karty jego książki motyw wiatru. Trzeba też dodać, że postacie Choromańskiego mają charakter napoły symboliczny. — Jak wybrną z tych trudności realizatorzy sceniczni? Wkrótce zobaczymy.

Do teatrów, co nie ustępują z placu w Warszawie należy też Teatr 8,45, który wystawił komedję muzyczną pt. **„Koleta"**. Pomysłowe libretto napisał Thomas Eunoda (wersja polska J. Walden). W roli tytułowej ujrzeliśmy Lucynę Szczepańską. Poza tem: Igo Syma, Rakowieckiego, Kraszewską. Na specjalne wyróżnienie zasłużyła jugosłowiańska tancerka Helena Tanasco; poważni krytycy wróżą jej piękną przyszłość.

Teatr krakowski także trwa na posterunku, zręcznie żonglując „Jaskółką z wieży Marjackiej", przyczem kiedy to ptaszę zapowiada obniżenie lotu, w sukurs mu wyrusza sam „Bolesław Śmiały", podpierając rycerskiem ramieniem wątłą okruszynę. A kiedy zkolei ramię królewskie osłabnie, zastąpi je znowu podpora „Jaskółki" — pułk. Pentaczek — w realizacji Wyrwicza, który nie opuścił Krakowa w dniach spiekoty i stara się jak może, aby tu było radośnie.

J. J.

ŁOWIECTWO W SZTUCE POLSKIEJ.

W miesiącach letnich urządziła warszawska „Zachęta" wystawę, będącą odbiciem łowieckich zamiłowań właściwych naszemu narodowi. Łowy były grą rycerską, która przez długie wieki stała się zajęciem, wyładowującem energję szlachecką i łącznikiem w towarzyskiem życiu ziemian. Łowy stały się też ulubionym tematem malarzy naszych od połowy XIX wieku. — Na warszawskiej wystawie zebrano w dziale retrospektywnym dzieła mistrzów tej miary co: Józef Chełmoński, J. Brandt, M. E. Andriolli, F. Ejsmond, J. Fałat, M. Geryński, J. Kossak, W. Pawliszak, J. Suchodolski, H. Weyssenhoff, A. Wierusz-Kowalski, M. Wywiórski. Wśród współczesnych malarzy warto wspomnieć dzieła Borucińskiego, A. Bunscha, S. Czajkowskiego, S. Domaradzkiego, W. Hoffmana, A. Jakimczuka, S. Janowskiego, S. Karniewskiego, J. Klukowskiego, Jerzego Kossaka, K. Lasockiego, S. Norblina, A. Sarnowicza, J. Świrysz-Ryszkiewicza i S. Żukowskiego.

Wystawa cieszy się wielkiem powodzeniem.

mdd

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 11 lipca.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Dzień Morza w Gdyni (przez Toruń).
12.1? Koncert — transmisja z Parku Helenów w Łodzi.
13.25 Koncert Polskiej Kapeli Lud.
14.40 Audycja dla dzieci.
15.00 Audycja dla wsi.
16.00 Melodje operetkowe.
17.00 Słuchowisko „Świeczka zgasła".
18.00 Podwieczorek przy mikrofonie (z Wilna).
20.00 Piosenki (płyty).
21.00 Capstrzyk Marynarki Wojennej z Gdyni.
21.01 Dzień Morza w Gdyni — reportaż.
21.10 Rewja letniskowa — „A czy znasz ty bracie młody".
22.00 Koncert wieczorny.

Poniedziałek, 12 lipca.

6,15 Audycja poranna.
12.15 „Odżywianie w czasie żniw" — pogadanka.
12.25 Orkiestry Gwardyj grają (płyty)
12.40 Od warsztatu do warsztatu — „Białoskórnictwo" (z Wilna).
15.15 Recital fortepianowy Stanisława Nawrockiego.
16.45 Zagadkowi ludzie: „Kacper Bekiesz" — feljeton.
17.00 Koncert Wileńskiej Orkiestry.
18.05 Lekkie duety instrumentalne.
19.00 Audycja strzelecka.
20.00 Muzyka lekka i taneczna.
22.00 Minjatury kwartetowe.
22.35 Muzyka kameralna.

Wtorek, 13 lipca.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Orkiestra Reprezentacyjna Policji Państwowej.
16.00 „Podwieczorek pod lipą" — ze Lwowa.
16.20 Dawne formy taneczne — recital fortepianowy.
16.15 Lato w Gościeradzu — feljeton.
17.00 Muzyka.
18.15 Muzyka operetkowa.
19.00 „Za Króla Stasia" — koncert.
20.10 Koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert solistów.

Środa, 14 lipca.

6.15 Audycja poranna.
12.15 „Wieczne żyto" — pogadanka.
12.25 Orkiestra salonowa.
16.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki K. H. Rostworowskiego.
16.15 Pieśni w wykonaniu chóru męskiego „Hejnał" z Brzezin (z Katowic.
16.45 „Psychologja żołnierza w literaturze polskiej" — odczyt.
17.00 Recital Miecz. Szaleskiego.
17.25 Pieśni francuskie.
18.15 Marjan Anderson i Benjamino Gigli śpiewają.
19.00 Słynni dyrygenci.
20.00 Koncert.
21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Róży Etkinówny.
22.00 Koncert symfoniczny w wykonaniu orkiestry P. R.

Czwartek, 15 lipca.

6.15 Audycja poranna.
12.15 „Pierwsza pomoc przy skaleczeniach zwierząt" — pogadanka.
12.25 Koncert orkiestry mandolinistów.
16.15 Muzyka salonowa.
17.00 Koncert solistów.
18.15 Orkiestra jazzowa Eugenjusza Wolffa.
19.00 „Poznać siebie trudno" — nowela B. Prusa (z Torunia).
20.00 Muzyka lekka i taneczna.
22.00 Gra Gaspar Gassado (płyty).

Piątek, 16 lipca.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Koncert Polskiej Kapeli Ludowej F. Dzierżanowskiego.
16.15 Pieśni regjonalne chóru mieszanego „Oktet" (ze Lwowa).
16.45 Reportaż Romana Zrębowicza z Wystawy paryskiej.
17.00 Koncert solistów.
18.10 Melodje Offenbacha.
19.00 Muzyka.
20.00 Muzyka lekka i taneczna.
21.45 „Poezja szumi morzem" — kwadrans poetycki.
22.00 Koncert orkiestry wileńskiej.

Sobota, 17 lipca.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Utwory Moniuszki — koncert.
16.00 Słuchowisko — „Królewicz i żebrak".
16.30 Koncert orkiestry Adama Hermana.
17.15 Orkiestra kameralna pod dyr. Zbigniewa Dymka (z Katowic).
17.50 „Katowice w oczach turysty", pogadanka.
18.15 Chór Dana i Eryana (płyty).
19.00 „Od wyśnigo końca Żywieczyzny płynie Soła" — audycja podhalańska.
20.00 Audycja dla Polaków zagranicą — „Tam gdzie są nasi rodacy".
21.05 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.